MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 37. (36 skonfiskowany) WARSZAWA, 21 SIERPNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

RÓWNOŚĆ W STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH

KONFERENCJA rozbrojeniowa przerwała swe prace pod wrażeniem *ultimatum* niemieckiego w sprawie równości zbrojeń. Delegat Rzeszy, p. von Nadolny, oświadczył wyraźnie, że Niemcy nie będą uczestniczyły we wznowionych obradach konferecji, o ile przedtem prezydjum nie uzna prawa niemieckiego do równości zbrojeń.

Powołując się na ustęp Traktatu Wersalskiego, który mówi, że rozbrojenie Niemiec jest między innemi przeprowadzone dlatego, by umożliwić ogólne rozbrojenie, rząd berliński stał zawsze na stanowisku, iż wszystkie państwa są w zasadzie zobowiązane tak się rozbroić, jak są rozbrojone, oczywiście na papierze, Niemcy.

Ale to pierwsze pojęcie równości zbrojeń szybko zastąpiono innem, mianowicie nie obowiązkiem równego z Niemcami rozbrojenia się innych państw, ale prawem Niemiec do równego z innemi państwami zbrojenia się. Polityka niemiecka nastawiona była zawsze na to, że konferencja rozbrojeniowa nie uda się i nie doprowadzi do konkretnych wyników. Wówczas Niemcy ogłosiłyby, że odzyskują swobodę ruchów w dziedzinie zbrojeń, i że automatycznie upadają postanowienia Traktatu Wersalskiego, dotyczące ograniczeń wojskowych, nałożonych na Rzeszę.

Dziś zresztą Niemcy zrzuciły już całkowicie maskę. Ostatnie brutalne przemówienia istotnego ich dyktatora, gen. von Schleichera, postawiły sprawę wyraźnie. Rząd berliński pod hasłem równości zbrojeń rozumie już obecnie prawo Niemiec do swobodnego zbrojenia się, to znaczy m. in. do wprowadzenia powszechnej służby wojskowej.

Teza o równości zbrojeń znajduje zresztą inne uzasadnienie. Mówi się obecnie, że jest rzeczą nie do pomyślenia, by jakiekolwiek państwo znajdowało się przez czas dłuższy w wyjątkowej sytuacji prawnej i że w dwanaście lat po podpisaniu traktatu pokojowego nie da się utrzymać jego jednostronnych postanowień. W ten sposób uzasadnia stanowisko niemieckie prasa włoska, angielska, amerykańska, nie mówiąc o prasie tak zw. państw neutralnych, a nawet o pewnych pismach francuskich. Słowem, rozwijana jest przy tej sposobności teza szersza, opierająca się na zasadzie równości państw i na teorji politycznej, która mówi, że życie międzynarodowe nie znosi jednostronnych sytuacyj.

Czy postulat niemiecki w Genewie zostanie zrealizowany? Czy konferencja rozbrojeniowa odrzuci *ultimatum* niemieckie za cenę pożegnania się z delegacją Rzeszy? Ktokolwiek interesował się ewolucją stosunków międzynarodowych, nie będzie miał pod tym względem żadnych złudzeń. Sympatje opinji międzynarodowej są po stronie niemieckiej. „*Journal de Genève*", odźwierciadlający poniekąd tę opinję, wywodzi, że Francja będzie musiała uznać postulat niemiecki, zmniejszając swe pretensje do żądania rekompensat w dziedzinie bezpieczeństwa.

Premjer Herriot, odpowiadając w Genewie pośrednio p. von Nadolnemu, nie wystąpił wprost przeciw żądaniom Berlina, lecz ograniczył się do

przeciwstawienia hasłu równości zbrojeń — hasła równości bezpieczeństwa. Jest to zapowiedź raczej rokowań, tranzakcyj i kompromisów. Praktyczną podstawą tych rokowań będzie zasada równości państw.

Nie potrzeba uzasadniać, jak dalece wszystko to, co dzieje się w Genewie, dotyczy interesów polskich. Z chwilą uzyskania przez Niemcy prawa do swobodnego zbrojenia się, znajdziemy się wobec nowej sytuacji. Znajdziemy się wobec zrównania praw państwa niemieckiego z prawami innych mocarstw.

Otóż w takiej nowej sytuacji wyrównywania praw i obowiązków poszczególnych mocarstw, byłoby rzeczą nie do pomyślenia, aby jedynie Polska, a z nią tak zwane państwa nowopowstałe znalazły się w wyjątkowej sytuacji w dziedzinie międzynarodowej, a mianowicie w dziedzinie zobowiązań „mniejszościowych". Jeżeli ma być równość, to niech będzie istotnie powszechna i ogarniająca wszystkie dziedziny. Traktaty o „mniejszościach" są tak samo jednostronne, jak ograniczenia militarne Niemiec, wywodzą się z tego samego źródła — z konferencji pokojowej. W dwanaście lat po podpisaniu traktatu pokojowego nie będą możliwe do utrzymania, skoro uzna się, że nie są możliwe do utrzymania ograniczenia Niemiec.

Polska już kilkakrotnie dawała wyraz tej anormalnej sytuacji. W czasie Zgromadzenia Ligi Narodów w r. 1925, delegat polski, p. Kozicki, przyłączył się do wniosku litewskiego, domagając się zrównania praw i obowiązków mocarstw w sprawach „mniejszościowych". Powoływaliśmy się wówczas na zasadę równości państw. Wniosek litewski został jednak odrzucony.

Dziś wszakże, gdy zasada równości robi tak zdumiewające postępy, wywołując wręcz entuzjastyczne echa, należy się spodziewać, że wniosek litewski nie mógłby być już odrzucony. W każdym razie nadchodzi wyjątkowa sposobność wysunięcia zagadnienia traktatów „mniejszościowych" na zasadniczem tle równości w stosunkach międzynarodowych. Sposobności tej nie możemy zmarnować, zwłaszcza, że i ogólne położenie międzynarodowe (dalsze potęgowanie się kryzysu, rozwój wypadków w Niemczech i t. d.) ułatwia niepomiernie poruszenie tej sprawy i przeprowadzenie jej z wynikiem pozytywnym, to znaczy przez osiągnięcie bądź rozciągnięcia traktatów „mniejszościowych" na wszystkie państwa, bądź ich całkowitego zniesienia.

Sprawa traktatów „mniejszościowych" wysuwa się zatem jako naczelne zadanie naszej polityki zagranicznej, wiążąc się zresztą do pewnego stopnia z zagadnieniem równości bezpieczeństwa. Sprawa ta musi być postawiona i — wygrana.

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

W ROCZNICĘ BITWY POD WARSZAWĄ

(Dokończenie)

NIEBACZNA polityka i strategja ściągnęły na nas sytuację, która w ciągu naszych dziejów powtarzała się kilkakrotnie, a w najgroźniejszej formie i z najstraszniejszemi skutkami spadła na nas w drugiej połowie XVIII w. Polska zawsze umiała obronić się przed wschodem i zachodem zosobna, ale ulegała zawartemu przeciw sobie związkowi wschodu i zachodu. Czyżby teraz, po dwóch latach niepodległości, miała przyjść na nią zagłada?

„Nie!" zawołał gromko naród polski, który teraz przemówił. Bo wyprawa kijowska nie była jego dziełem. Wyrosła była z pychy, z pochlebstwa, z żądzy sławy i wyniesienia, z intryg ludzi, pragnących odzyskać pozostałe za kordonem dobra. Lecz teraz obudziły się utajone siły Polski, której byt był postawiony na kartę. Narodowi tę grę narzucono— i naród ją przyjął. Ucichły swary stronnictw. W obliczu grożącej katastrofy podały sobie ręce wszystkie stany. Formowała się armja ochotnicza, jednocząca w swych szeregach młodzież i starców, jednocząca inteligenta, chłopa, robotnika. Hasłem było: Śmierć albo zwycięstwo. Polak zbyt dobrze poznał niewolę, aby pozwolił sobie ją narzucić z powrotem.

I jeżeli w owej grozą brzemiennej chwili obce państwa naogół niewiele okazały nam życzliwości, to tem serdeczniej należy wspomnieć o Francji, który przysłała nam znaczną ilość dział, szczególniej ciężkich, bardzo użytecznych przy obronie Warszawy, i zastęp wybornych oficerów z jenerałem Weygand, szefem sztabu marszałka Focha na czele. Godzi się wspomnieć i o Stanach Zjednoczonych, które wzmocniły naszą flotę powietrzną.

Biorąc rzecz z punktu widzenia czysto wojskowego, gen. Weygand radził cofnąć się na linję San — Wisła i tam stoczyć bój rozstrzygający. Może taki plan dawał lepsze widoki powodzenia, ale dla nas był nie do przyjęcia. Nasz bój śmiertelny musiał odbyć się nad brzegami naszej świętej rzeki, ale w obronie serca Polski, w obronie tej Warszawy, której bronił przed Prusakami Kościuszko i na której szańcach ginął Sowiński. Więc strategik francuski poddał tylko pewne zmiany w planie, wypracowanym przez ówczesnego szefa sztabu, gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Obrona Warszawy — w ścisłem znaczeniu — przypadła armji 1 pod dowództwem gen. Latinika. Północnym frontem dowodził gen. Józef Haller, z szefem sztabu płk. Zagórskim (późniejszym zaginionym generałem). Na lewem skrzydle tego frontu stała 5 armja gen. Sikorskiego, przeznaczona do kontrataku w chwili decydującej. Frontem środkowym dowodził naczelnik państwa, z którego sił do późniejszego natarcia przeznaczona była część armji 3, pod komendą gen. Rydza-Śmigłego.

Jak zbytnia pewność siebie stała się źródłem naszej klęski w maju 1920 r., tak w sierpniu tegoż roku opętała ona bolszewików i wydała nam ich w ręce. Są jeszcze i inne analogje. Owo wyciągnięcie frontu ku Prusom było także prowadzeniem polityki zamiast wojny. Opanowany żądzą wkroczenia do Lwowa, Budienny nie usłuchał rozkazu i nie podążył ku terenowi bitwy. Z tem wszystkiem jeszcze

górował nad nami nieprzyjaciel liczebnie, a choć miał słabszą artylerję, przewyższał nas znacznie — na niektórych odcinkach trzykrotnie — liczbą karabinów maszynowych. A miał za sobą sześć tygodni bezprzykładnego zwycięskiego pochodu, był pewny, że, jak burza, złamie wszelki opór i zaleje resztę Polski.

13 sierpnia rozpoczął się atak na Warszawę. Ale wbrew oczekiwaniom front polski stał twardo, mimo niesłychanej siły natarcia. Tylko w jednem miejscu pękła pierwsza linja obronna — Radzymin dostał się w ręce wroga.[3]) W tym groźnym momencie wojska bolszewickie były o 15 kilometrów od Pragi. Ale za pierwszą linją była druga, ściągnięto na nią szybko nieostrzelane, lecz pełne męstwa i zapału ochotnicze formacje z linji trzeciej. Bez broni, jak przystało kapłanowi, ale z krzyżem w ręku biegnie przed niemi do szturmu ks. Skorupka. Pada, ugodzony kulą, zagrzanych jednak bohaterstwem jego żołnierzy nic nie wstrzyma. Radzymin znów w polskich rękach, a nowy atak wroga oddaje mu tylko część domów. Front znów sklejony, ciężkie działa dziesiątkują nieprzyjaciela, z chwilowo zajętych pozycyj wyrzuca go bagnet, zasypują go ogniem samochody pancerne, jak muchy kąśliwe krążą nad nim samoloty. Droga do Warszawy dalsza, niż się zdawało.

16 sierpnia słabnie aktywność armji bolszewickiej, atakującej stolicę Polski. Znużona wysiłkami trzech dni poprzednich, przerzedzona, zachwiana moralnie, armja ta czeka wejścia w bój prawego skrzydła — tego, co wydłużyło się było ku Pomorzu. Gdzież armja 15, armja 4, korpus konny Gazy-chana? Niech armja 15, armja 4, korpus konny Gazy-chana myślą o sobie! Między ustami a brzegiem puharu dosięgła ich zagłada.

Zaniepokojony wieściami o naporze na Warszawę, gen. Haller 14 sierpnia polecił gen. Sikorskiemu uderzyć z rejonu Modlina. Nastąpiły trzy dni zaciętych walk — z jednej strony wedle cyfr, podanych niedawno przez gen. Weyganda w odczycie brukselskim, 44 tysięcy ludzi, 140 dział, 450 karabinów maszynowych; z drugiej 60 tysięcy ludzi, 330 dział, 1200 karabinów maszynowych. Mniejsza siła rzuciła się na większą, starła ją w puch i wypchnęła za granicę niemiecką — gdzie zresztą nic złego nie stało się bolszewikom, bo przyjaciele pozwolili im odejść z bronią w ręku.

Bitwa wygrana, Warszawy nie pokala stopa nieprzyjacielska, Żyd-komisarz nie będzie bezcześcił jej świątyń, mużyk nie będzie gwałcił jej kobiet. Teraz idzie o wyzyskanie zwycięstwa — o wyzyskanie takie, któreby zakończyło wojnę. Teraz uderzają oddziały armji 3 i 4, przebywszy pośpiesznym marszem w ciągu dwóch dni 80 klm. i dotarłszy do Brześcia Litewskiego. Dowodzi chciwy zmazania poprzednich niepowodzeń naczelnik państwa. Tym razem ma szczęście. Dopada bolszewików zupełnie nieprzygotowanych — dwie dywizje t. zw. grupy mozyrskiej w marszu. Znaczna część sił nieprzyjacielskich ulega oskrzydleniu. W armji bolszewickiej panuje zupełny zamęt. Jej dowództwo naczelne przez dwa dni nie wydaje rozkazów, pozostawiając każdej poszczególnej grupie wolność ratowania się wedle własnej przemyślności. Nie wszystkim się to udaje. Liczba jeńców dochodzi do 65 tysięcy..

Jeżeli zgłębiamy te dzieje samym rozumem, jeżeli na zimno zestawiamy ich bilans, będzie on z tem wszystkiem smutny: Pokój ryski daje nam granice o wiele skromniejsze, niż były do uzyskania w zimie. Nie dostajemy ani Kamieńca Podolskiego ani Mińska. Straciliśmy około 200 tysięcy ludzi. Trzecia część kraju wygląda, jak po przejściu szarańczy. Zadłużyliśmy się poważnie we Francji i gdzieindziej. Rada ambasadorów rozstrzygnęła niekorzystnie dla nas sprawę Śląska Cieszyńskiego. Przegraliśmy plebiscyt na Mazurach i Warmji. Anglja przeparła oddanie nadzoru nad portem gdańskim specjalnej radzie, a przecie traktat wersalski zapewniał nam używanie tego portu bez zastrzeżeń...

Wszystko to prawda. A przecie, gdy spojrzymy na te same wypadki przez pryzmat uczucia, przedstawią się nam zgoła inaczej. Epopeja bohaterskiego boju pod Warszawą przenika nasze serca radosną dumą. Otrzymaliśmy niepodległość dzięki sytuacji dziejowej i mądrej dyplomacji. Wprawdzie lała się krew nasza w szeregach obu stron walczących — ale te wysiłki równoważyły się choćby dlatego, że były po obu stronach. Może więc Opatrzność zesłała nam ciężką próbę roku 1920, abyśmy zrozumieli, że bez ofiary niema wolności, że naród, który chce żyć, musi okazać się gotowym na śmierć.

„Bo ty nie myśl, że z anioły
Tylko Boża myśl przychodzi,
Czasem Bóg ją we krwi rodzi.
Czasem rzuca przez Mogoły...“

—mówi Słowacki. Nic nie usprawiedliwi błędnej koncepcji politycznej, która zmusi nas do zwycięstwa pod Warszawą. Ale Opatrzność tak urządziła umyślnie, abyśmy zapłacili za wolność — bo na świecie nic za darmo. Może Opatrzność zażądała od narodu egzaminu...

A naród zdał go świetnie. Nie pora tu wyliczać poszczególne bohaterskie czyny, spełniane w najcięższych warunkach, bo przecież przy tworzeniu armji ochotniczej i nowej formacji przetrzebionych oddziałów nie było czasu na ich należyte zaopatrzenie. Byli żołnierze, co maszerowali boso, byli nawet oficerowie, co boso prowadzili żołnierzy do boju. Konający pytali się o wynik bitwy, a na wieść o zwycięstwie oddawali ducha z uśmiechem. Zmagania o Płock rozstrzygnęła ludność cywilna. Nieletni ochotnik okazywał w ogniu zimną krew starego wiarusa. W poległych rozpoznawano kobiety, które swą płeć ukryły. A wszystko to działo się po niesłychanie ciężkiej klęsce, a raczej po sześciu tygodniach ustawicznych klęsk i ucieczki. Trysnęło żywą wodą źródło ukrytych sił narodu. On to był bohaterem bitwy pod Warszawą. Spełnili swój obowiązek wodzowie, ale zapasy rozstrzygnął żołnierz, a prócz żołnierza obywatel — bo bez ducha ofiary poza frontem nie może być w naszych czasach trjumfu na froncie.

I to wszystko jednak byłoby za mało. Jest w dziejach świata jakaś siła wyższa, która kształtuje losy narodów. Tę siłę my, chrześcijanie, zwiemy Opatrznością. Opatrzność ta natchnęła nas duchem wytrwania i poświęcenia, Opatrzność pozwoliła nam pokonać zwątpienia i trwogę, a wściekłości wroga przeciwstawić twardą wolę zwycięstwa. I Opatrzność to sprawiła, że wróg popełnił owe fatalne błędy, Ona to wlała w jego serce ową pew-

[3]) W wydanem niedawno zbiorowem dziele „Generał Rozwadowski“ chwilowa strata Radzymina przedstawiona jest jako przewidziana planem.

ność siebie i butę, która zawsze przychodzi — przed upadkiem.

Gdy tedy rozum przy rozważaniu wypadków z przed lat dziesięciu stawia nam przed oczyma przyczyny tragicznego położenia z przed 15 sierpnia 1920 r. i uczy, że lepiej było zakończyć wojnę i nie walczyć pod murami własnej stolicy, jeżeli mówi nam o przysłowiowem polskiem szczęściu, w niczem to nie przeszkadza uczuciu. Ono równocześnie każe nam kornie chylić głowę przed bohaterami, łzami zrosić groby poległych, a nadewszystko dzięki składać Najwyższemu i Tej, której Jan Kazimierz niegdyś oddał w opiekę naszą krainę i która od tego czasu zwie się Królową Polski. Niedarmo bitwę pod Warszawą zwiemy Cudem Wisły i niedarmo rocznicę tej bitwy obchodzimy właśnie w święto naszej Królowej.

A teraz dajmy głos trzeciej władzy duszy ludzkiej. Jakiż udział w dzisiejszej uroczystości weźmie nasza wola? Święćmy dzień dzisiejszy szeregiem niezłomnych postanowień: Gdyby wypadki minione nie miały wywierać wpływu na przyszłość, zbędnem byłoby zagłębianie się w przeszłość, zbędna byłaby nauka historji, zbędne wszelkie obchody. Sierpniowe dni r. 1920 były jednym potężnym wybuchem miłości Ojczyzny, zapału, poświęcenia i pogardy śmierci, były momentem, w którym naród swym dobrom najwyższym podporządkował wszystko — szczęście i życie jednostek, przyszłość rodzin, waśni i przyzwyczajenia. Aby tego potężnego porywu nie zwano słomianym ogniem, poprzysięgnijmy, że wszelkiemi siłami będziemy starali się te święte uczucia z momentu rozdłużyć na cały szereg dni naszych i przekazać następnym pokoleniom. Zbrojni w doświadczenie z przed lat dziesięciu, postanówmy sobie, że nie będziemy gonili za majakami marnej i urojonej wielkości, lecz radzili się serc naszych polskich i przy ich pochodni znajdowali drogę ku szczęściu Ojczyzny.

Oto zachodni sąsiad wciąż grozi nam rabunkiem naszej ziemi, chce nas wypchnąć od morza, a na wschodzie panoszy się ta sama dzicz, co przed dziesięciu laty dochodziła do bram naszej stolicy. Między temi dwiema niebezpiecznemi potęgami zamkniętym, trzeba nam patrjotyzmu, ofiary i ducha obywatelskiego, ale trzeba i mądrości politycznej. Tę zaś może nam dać tylko rzut oka w przeszłość. Księga dziejów roztoczy przed nami szereg obrazów, z których najsilniej podziała ów obraz z roku 1920, przeze mnie pobieżnie i nieudolnie, lecz prawdziwie skreślony. Jeszcze żyją w niektórych głowach rojenia na temat jakiegoś mocarstwa, rozciągającego się po morze Czarne. Ależ to nie byłaby Polska — bo cóż nam z takiej Polski, w której Polacy byliby mniejszością? Ledwie umiemy sobie dać radę z mieszkańcami obcej narodowości w chwili dzisiejszej, a mamy myśleć o budowaniu jakichś kolosów na glinianych nogach, którebyby przywaliły nas swym ciężarem i pogrzebały pod ruinami? I my mielibyśmy raz jeszcze w takich celach krew przelewać, zwyciężać raz jeszcze pod Warszawą, a może — strach bierze powiedzieć — pod Warszawą ponosić klęskę?

W ostatnich dniach ozwały się dwa charakterystyczne głosy, poruszające ten temat. Na zjeździe [4]) w Radomiu jen. Rydz-Śmigły oświadczył, iż byli legjoniści, wierni roli swego dawnego wodza, zasługują na nazwę Obozu Wielkiej Polski, ponieważ szli na Dynaburg i na Kijów. Otóż był to nieprzemyślany frazes albo brak zrozumienia rzeczy najprostszych. Wielki pisarz angielski Chesterton powiedział: „Kocham Anglję nie za to, że jest wielka, bo w takim razie mógłbym równie dobrze kochać Niemcy”. I my kochamy Polskę za to, że jest Polską — a nigdy Polską nie będzie kraj, gdzie Polacy stanowią znikomą garstkę, gdzie tradycje polskie są słabe lub nigdy nie istniały.

Wkrótce potem jedna z gazet berlińskich ogłosiła relację o tajnej naradzie ministrów niemieckich. Mówiono na niej o odebraniu nam Pomorza, Górnego Śląska, może i Poznańskiego. „Damy za to Polakom... Ukrainę sowiecką” [5]). W czas odezwał się p. Treviranus! Jego słowa stawiają nam przed oczyma ścisły związek między sprawami wschodniemi i zachodniemi. Gdy w jedną stronę zanadto pociągnie się obrus, po drugiej zostaje kawałek stołu nienakryty. Fantazje budowania Ukrainy czy federacji wschodniej stale odwracały nasz wzrok od prastarych dzierżaw Piastowych, zaludnionych w olbrzymiej większości przez Polaków, od Gdańska, o którym powiedział Mickiewicz „miasto nasze, będzie znowu nasze”, od Prus Wschodnich, stanowiących dla nas takie samo niebezpieczeństwo, jakiem były przed rozbiorami.

Tam jest przyszłość Polski, tam morze otwiera nam drogę w świat szeroki. Otóż dziś, święcąc zwycięstwo nad wrogiem wschodnim, postanówmy sobie niezłomnie, że ni piędzi ziemi nie ustąpimy wrogowi zachodniemu, a jeśliby sięgnął po to, co nasze i już w naszych rękach, powtórzymy nie cud Wisły, ale Grunwald i zdobędziemy to, co nasze z prawa, ale jeszcze dziś nie w rękach naszych.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

---

[4]) Legjonistów, 10 sierpnia 1930.

[5]) Dziś podobnie przebąkują Niemcy o Kłajpedzie czy — ciszej o Litwie Kowieńskiej... Ile groźnej aktualności nabrały te słowa w ciągu lat dwóch, jakie upłynęły od ich wypowiedzenia!

NIEMIEC O FRANCJI

W PIŚMIENNICTWIE francuskiem XIX stulecia spotykamy się dość często z wymownemi świadectwami szczerego uznania dla żywotności umysłowej narodu niemieckiego, spotykamy się tam z podziwem i entuzjazmem dla jego genjuszu twórczego.

Pani de Staël, (wprawdzie nie rodowita francuska lecz pisząca tak, jakby za taką się miała), w słynnem dziele *„De l'Allemagne“*, nie szczędzi gorących barw swego pióra; roztaczając przed ówczesną Europą, oszołomioną zwycięstwami Napoleona, bogactwa intelektualne „tych biednych i szlachetnych Niemiec“—jak powiada—w upokorzonych zaś „Prusach oraz krajach północy ją otaczających“ umieszcza „Ojczyznę myśli...“ (p. przedmowę do książki p. de Staël, wydanie nowe, przejrzane i poprawione. Stuttgart 1830 r.)

Ten, cokolwiek egzaltowany, stosunek wzniosłej Korynny do ówczesnych Niemiec, którego powodów szukać należy między innemi w jej sercu

współczującem ich nieszczęściom narodowym, naraził autorkę *„De l'Allemagne"* na wygnanie z Francji. „Ostatnie dzieło pani nie jest wcale francuskie" (*„Votre dernier ouvrage n'est pas français"*)— pisał do niej minister policji, Savary, przesyłając zarazem rozkaz opuszczenia granic kraju; dzieło to wszakże w niczem nie uchybiało duchowi Francji, autorka tylko wyrażała życzenie, by w tym kraju „sławy i miłości" nie o wszystkiem stanowiło wyrachowanie rozumu, żeby w nim nie wysiąkło źródło entuzjazmu. Sprawiedliwości czyniąc zadość, trzeba jeszcze stwierdzić, że wielbiąc ducha twórczego Niemiec, w jego ówczesnych przejawach na polu literatury, filozofji, nauki i t. p., autorka *„De l'Allemagne"*, zachwycona potęgą jego uczuć oraz wzniosłością myśli, więcej ujawnia krytycyzmu względem tego wszystkiego, niż niejeden z tych, co po niej we Francji będą stali pod urokiem genjuszu niemieckiego.

A hołdujących mu było tak dużo, że zastanawiający się nad tym faktem, już za naszych czasów, w zdumieniu zapytywali: „Jak mógł duch niemiecki, będąc tak obcym i opornym względem dyscypliny umysłu ludzkiego oraz warunków jego normalnej działalności, odgrywać poważną rolę w jego losach, wypełnić rozdział jego historji? Jak mogła znaczna część elity francuskiej, elity europejskiej, przebywać w ciągu całego XIX wieku w szkole myśli niemieckiej?" (p. Pierre Lasserre *„Cinquante ans de pensée française"*, rozdział p. t. *„Le germanisme et l'esprit humain"*).

Pomijam tu powierzchowne, retoryczne umysły, w rodzaju Wiktora Cousin'a i t. p., które z powyższej szkoły czerpały natchnienie, plącząc się w sieci spekulatywnej filozofji niemieckiej,—świetniejsze bowiem, tak subtelne i przenikliwe, jak H. Taine'a i—w większym jeszcze stopniu—E. Renan'a uległy jej hypnozie, głosiły wyższość jej myśli nad wszelkiemi innemi, zanim bolesne doświadczenie 1870 roku nie wyrwało ich z tego zaczarowanego koła.

O tem, jak we Francji umiano przejmować się sprawami twórczości niemieckiej, niechaj świadczy jeszcze stosunek wielu wybitnych pisarzy francuskich do ostatniego genjusza Niemiec, mianowicie do Ryszarda Wagnera.

Zaczynając od Baudelaire'a, który pierwszy przemówił szlachetnie w obronie twórcy „Tannhäusera", podczas kiedy cała szeroka opinja Paryża była wrogo względem niego nastrojona, — iluż to we Francji wciąż kruszyło kopje w jego imieniu (grupa *„Revue Wagnérienne"*, studja de Wyzewy, następnie dzieła Edwarda Schuré'go, później Lichtenberger'a i w. in.)—aż przechyliło szalę opinji francuskiej na jego stronę.

Jeśli teraz rzucimy okiem na Niemcy XIX w., to w ich życiu umysłowem nie spotkamy się często ani z przebywaniem jego przedstawicieli „w szkole myśli francuskiej", ani z przejęciem się jej niektórymi wynikami, ani ze szczerem uznaniem dla twórczości duchowej Francji. Są wprawdzie wyjątki, te wszakże reprezentują jednostki, które albo wręcz gardziły kulturą umysłową Niemiec (Nietzsche np., który twierdził, że gdyby jakiś kataklizm wykreślił Francję z mapy Europy, to słowo „kultura" nigdzie nie miałoby sensu), albo niemiłosiernie szydziły z niej (jak Heine), albo wreszcie, wskutek pełni swego ducha, czerpiąc ze źródeł cywilizacji powszechnej, stały także pod urokiem kultury francuskiej (jak Goethe).

Wogóle jednak, umysł niemiecki w ciągu XIX wieku był w stałej ofensywie przeciw umysłowi francuskiemu, a to w poczuciu swej przewagi nad nim, w imię wyższości duchowej i rasowej Niemiec nad Francją.

Na długo przed wielką wojną ofensywę powyższą prowadzono w Niemczech z takim rozmachem, że w dziedzinie duchowej Francji (nie mówiąc już o innych krajach cywilizacji łacińskiej), zaczęto dokonywać śmiesznych zaborów: przywłaszczano mianowicie sobie nawet Molière'ów i Voltaire'ów, przedstawiając w ogromnie uczonych dziełach ich rodowody germańskie (Woltmann i w. innych).

Po katastrofie wojennej trzeba było butę swoją nieco poskromić i taktykę zmienić, właściwie jednak utrzymywano się na dawnem stanowisku wyniosłości niemieckiej, głoszono bowiem „Upadek Zachodu" i odżegnywano się od wspólności z cywilizacją rzymską, zachodnią, przekonywając jednocześnie świat, że źródeł odrodzenia duchowego należy teraz szukać w mądrości Wschodu azjatyckiego. A gdy w końcu, masy niemieckie zaczęły coraz śmielej intonować pieśń odwetu: *„Siegreich wollen wir Frankreich* (albo *Polen*) *schlagen"*, wówczas przestano chować się wstydliwie za parawan mędrców Wschodu—i jak dawniej, wszelką prawdę i wszelkie dobro umieszczano we własnej germańskiej „kulturze".

Mając to wszystko na względzie, nie bez przyjemnego zdziwienia czyta się książkę Ernesta-Roberta Curtius'a, poświęconą cywilizacji francuskiej (p. *„Essais sur la France"*, przekład I. Benoist-Mechin. Paris, éditions Grasset, str, 334).

Autor tej książki jest wybitnym znawcą literatury i wogóle kultury francuskiej, badaczem miłującym swój przedmiot, nietylko dlatego, jak to bywa nieraz wśród „fachowców", że te lub inne losy związały go z nim, lecz z powodów głębszych, dlatego, że coś w nim żywiej go przejmowało, pociągało czarem istotnego piękna oraz wdzięku osobliwego. Książka Curtius'a zasługuje jeszcze na wyróżnienie z tego powodu, iż celem jej było ułatwić szerokiej publiczności niemieckiej zrozumienie rzeczy francuskich, zbliżenie ku sobie dwuch cywilizacyj, by z tego wynikła zgoda pomiędzy dwoma narodami.

Chociaż autor zastrzega się w przedmowie, że zadaniem jego było tylko *„faire voir et faire comprendre"* (pokazać i pozwolić zrozumieć), bez stawania po czyjejś stronie i dyskutowania o tem, sposób wszakże, w jaki „pokazuje" Niemcom „rzeczy francuskie" i sam je rozumie—świadczy o jego sympatji dla nich, i o tem, że swój bardzo życzliwy do nich stosunek radby udzielić innym. Może to wszystko jest podyktowane względami politycznemi chwili obecnej, w każdym razie jednak nadaje książce ton rzadko spotykany w dziełach niemieckich, poświęconych Francji.

Przedewszystkiem, wobec wytworów ducha twórczego Francji, wobec jej cywilizacji, której rozmaite kształty w książce są rozważone i oświetlone, nie przybiera Curtius postawy własnej wyższości cywilizacyjnej: przeciwnie — zachowuje tu stosunek równego z równym, a porównywając ze sobą wartości duchowe dwuch narodów z prawdziwą niekiedy kurtuazją i niezależnością zdania, rad jest przyznać w niejednym wypadku wyższość strony przeciwnej.

Zastanawiając się nad sprzecznością pojęć niemieckich i francuskich o cywilizacji i kulturze, Curtius traktuje to zagadnienie z prawdziwym objektywizmem, sięgając głęboko w jego istotę. Niemcy stawiają kulturę ponad cywilizacją, Francuzi przeciwnie uważaja, iż cywilizacja wyższą jest od kultury. Dla Francuza, zdaniem autora, słowo „cywilizacja“ jest to palladium jego idei narodowej i zarazem poręczenie solidarności powszechnej. Słowo to porywa masy i zdolne jest przybrać charakter świętości, wynoszący je aż do sfery prawd religijnych. —„W Niemczech,“— powiada Curtius,“— na żadnym pomniku dla zmarłych nie odnajdziemy wyrazu „kultura“, (poprzednio autor wspomina o napisie francuskim na pomniku dla poległych podczas wojny: „Wszystkim, którzy polegli w obronie cywilizacji“); lud nasz nie rozumie tego słowa, nie udaje się nam go zniemczyć; jest to termin uczony, nie przemawia on do serca. Ze wszystkich narodów, jedna Francja może wyrazić przez słowo „cywilizacja“ swoje dobra najświętsze“. W pojęcie to wchodzi najistotniejsza treść tego, czem żyła Francja w ciągu swych dziejów, to co reprezentowała w historji Europy, czem chciała być wśród powszechności ludzkiej, do czego dążyła.

Francja, poczynając od XI-go wieku, odczuwała zawsze potrzebę — jak to wykazuje Curtius, — nadania swej historji narodowej kształtu i zarysu pewnej idei: była w poszukiwaniu obrazu, formuły, słowa, któreby ją wyrażało. (W średniowieczu „*Gesta Dei per Francos*“, hasła W. Rewolucji itp.). Formuły tego rodzaju mogły się zmieniać w biegu dziejów, pomimo jednak ich różnice, rozmaite oblicza Francji zachowują pomiędzy sobą szczególniejsze pokrewieństwo; w końcu najwyższą i ostateczną formułą staje się dla niej idea cywilizacji. Co do struktury tej idei zasadniczej, autor stwierdza, iż we Francji idea narodu i idea cywilizacji wchodzą ściśle jedna w drugą. Państwo, naród, kultura, trzy te rzeczy są nieodłączne w świadomości francuskiej, stanowią nieodzowne składniki jedynego doświadczenia.

Kiedy my—powiada Curtius—mówimy o „kulturze niemieckiej“ („kultura niemiecka, jest kulturą niemiecką“) słowa te dla ucha Francuza wydają się być zaprzeczeniem idei kultury, dla niego bowiem kultura powinna być przedewszystkiem rzeczą uniwersalną, a jej wartość zasadnicza polega na treści ludzkiej. Jakże więc można uznawać i propagować jakąś kulturę narodową? Gdy Francja utożsamia się ze swoją ideą cywilizacji, nie mówi nigdy o „cywilizacji francuskiej“, lecz wprost o cywilizacji. W ten to sposób świadomość narodowa francuska wznosi się aż do uniwersalizmu. „Być wartością ogólną“ — powiada Curtius — „w której wszyscy mogą brać udział, oto skąd czerpie swą szlachetność i swoją ludzkość“.

Dochodząc do świadomości jako naród, Francja poprzez jego ideę czuje się strażniczką idei powszechnej.

Ten związek ścisły poczucia narodowego i idei cywilizacji, tłumaczy — podług autora — dlaczego Francja czuła się zawsze na czele ludów cywilizowanych.

Wprawdzie Curtius robi tu uwagę, że obecnie elita umysłowa Francji, wyrzekła się tego starego pojęcia, mianowicie Francji oświetlającej pochód ludzkości, niemniej jest zdania, że tam nawet, gdzie odstąpiono od tej idei pierwszeństwa duchowego, pojęcie francuskie różni się bardzo od niemieckiego. Umysł bowiem francuski wierzy w istnienie norm uniwersalnych, i w jego oczach, cywilizacja jest właśnie jedną z nich.

Idea cywilizacji ma sens o tyle, o ile wszyscy ludzie mogą w niej brać udział, gdy mogą wszyscy mieć o niej jednakowe wyobrażenie. Tego rodzaju pojęcie łączy się u Francuzów z ich definicją człowieka jako istoty rozumnej. Wynika to słowem z racjonalizmu kartezjańskiego, który, dziś jeszcze, jest jednym z żywotnych składników francuskiego pojęcia cywilizacji. Chociaż nie jest to zgodne z pojęciem niemieckiem, Curtius wszakże nie przyznaje sobie ani rodakom swoim, prawa do twierdzenia, że to poczuwanie się Francji do misji uniwersalnej jest pozbawione dobrej wiary, że jest to rodzaj imperjalizmu zamaskowanego.

Ktoby tak sądził — powiada Curtius—ten nierozumie Francji i popełnia wobec niej ciężką niesprawiedliwość. Dziś bowiem jeszcze Francja żyje w znacznej mierze dziedzictwem, przekazanem jej przez „filozofję oświecenia“, której idee, w tym kraju rozumu, panują nietylko nad umysłami wybranych, lecz i nad duszą ludu. Cechą charakterystyczną tej idei cywilizacji jest i to jeszcze, że przenika ona wszystkie warstwy narodu. Zdemokratyzowała się ona w ciągu ostatniego wieku dzięki prasie i nauczaniu historji w szkołach. We Francji szerokie masy wierzą, że — jak to głosi podręcznik jednego z wybitniejszych historyków francuskich, Lavisse'a—„Francja i Ludzkość nie są to dwa wyrazy przeciwstawiające się sobie. Są one złączone i nierozdzielne. Ojczyzna nasza jest najbardziej ludzką ze wszystkich Ojczyzn“.

Demokratyzacja francuskiej idei cywilizacji ma jeszcze inną przyczynę, mianowicie iż jest ona uniwersalną także w tym sensie, że obejmuje jednocześnie najrozmaitsze formy bytu ludzkiego. W tem, zdaniem autora — jest ona przedłużeniem ideału kultury antycznej. Obejmuje ona normy materjalne i duchowe, technikę i moralność. Rzec można, iż we Francji cywilizacja rozpoczyna się od sztuki kulinarnej; należy do niej moda, uprzejmość towarzyska etc, słowem najrozmaitsze manifestacje życia, które nadto nie są tylko przywilejem klas kulturalnych, lecz są wszystkim dostępne, bodaj w skromnej mierze.

Analizując wciąż cywilizację w pojęciu francuskiem, Curtius zaznacza jeszcze, iż łączy się z nią poczucie ciągłości. W tym punkcie uwidocznia się głęboka różnica pomiędzy francuskiem pojęciem cywilizacji a niemiecką koncepcją kultury.

„Dla nas„—powiada autor—“ symbolem idealnym kultury jest twórcza działalność umysłu, dla Francuzów jest nim zachowanie oraz przekazywanie pewnego dziedzictwa. Dla nas kultura działa podług prawa substytucji: upodobnia się ona do szeregu kolejnych konstrukcyj duchowych, z których każda zajmuje miejsce tej, co ją poprzedzała. Francuz nie godzi się na tego rodzaju pojęcie historji, w którym widzi tylko rozproszenie oraz brak ciągłości. Podług niego prąd cywilizacji unosi na swoich falach wszystkie nagromadzone bogactwa przeszłości. I podobnie jak Galja otrzymała z Rzymu i przekazała Frankom całą zawartość kultury, odziedziczonej po starożytności, tak samo Francja niesie poprzez wieki olśniewający skarb cywilizacji“.

Autor napomyka wprawdzie o tem, że tu i owdzie we Francji objawiają się dążności rewizjo-

nistyczne względem tradycyjnego pojęcia cywilizacji (dotyczy to oddzielenia pojęcia narodu od idei cywilizacji), stwierdza jednak stale sam w swojej analizie, iż jest ono zbyt głęboko wszczepione w świadomość francuską, żeby mogło być z niej kiedykolwiek wyrwane.

Nie zatrzymuję się na tych rozdziałach książki, w których autor rozprawia o udziale i znaczeniu historji, literatury, religji, nawet Paryża, w strukturze oraz rozwoju cywilizacji francuskiej, aczkolwiek są to rzeczy bardzo ważne, gdyż na szczegóły zamało mam tu miejsca, zwracam natomiast uwagę czytelnika na końcowy rozdział, gdzie mowa o cechach zasadniczych genjuszu—czy też umysłu—francuskiego.

Porzucając sposoby określania charakteru umysłu francuskiego za pomocą wyodrębniania a następnie dodawania rozmaitych jego cech (np. „jasność“, „umiar“, „towarzyskość“, „sceptycyzm“ itp.), autor stara się uchwycić jego dynamizm oryginalny.

Zdaje się — powiada Curtius—iż jego sposoby reagowania odpowiadają dojrzałości życia.

Fakt ten wyprowadza autor z charakteru samej cywilizacji francuskiej, którą określa jako cywilizację „drugiego rzędu“, „pochodną“.

Przejmując kulturę rzymską i przystosowując się do niej, Francja w pewnym momencie swojej ewolucji — zebrała dziedzictwo tysiącletnie.

Dziedzictwo to nadało cywilizacji francuskiej dwojaki jej charakter starożytności oraz dojrzałości. Jest ona dojrzałą — powiada Curtius—nie w sensie zewnętrznym tego słowa, lecz dlatego, że jej koncepcje życia i jej hierarchja wartości odpowiadają wiekowi dojrzałemu.

Umysł francuski, zdaniem autora, posiada zupełnie inne pojęcie czasu od umysłu niemieckiego. Francuz żyje, o wiele intensywniej od Niemca, wśród wspomnień przeszłości. Niemiec widzi w przeszłości dzieje pewnego stawania się (*devenir*), Francuz rozważa w niej obecność pewnej tradycji; kategorjami myśli historycznej Francuza są kategorje trwania, nie zaś rozwoju.

To, co we Francji stało się rzeczywistością historyczną, zachowuje raz nazawsze swoją wartość. Tego rodzaju postawa wobec przeszłości, która wyraża starą kulturę, odnajduje się w świadomości narodowej Francji. „Ten szacunek dla przeszłości, który ożywia Francuzów, nie jest“ — powiada Curtius — jakąś formę wstecznego romantyzmu, jest to instynkt ściśle związany z rzeczywistością, który ciągle kształtuje teraźniejszość i przyszłość.

Myśmy powstali po wojnie, pełni jakiegoś upojenia ekstatycznego: chodziło tu o wymiecenie przeszłości, żeby przetworzyć wszechświat. Nie zastanawiano się nad tem, czy przedmiotem tego odnowienia ma być naród niemiecki, czy też ludzkość cała. We Francji działo się wręcz przeciwnie. Po zawierusze i spustoszeniach wojennych, naród dążył instynktownie do wznowienia tego, co istniało niegdyś, tego — co było stałe“.

Z charakteru cywilizacji francuskiej wypływa także i to, że umysł Francuza ceni najwięcej te przymioty, które się nabywa w wieku dojrzałym, jak: doskonałość (w sensie rzeczy „skończonej“ i rzeczy „bez błędu“) smak, zmysł rzeczywistości i t. p.

Francuzi — powiada autor — są „narodem finiserów („*un peuple de finisseurs*“), t. j. tych, co każdą rzecz doprowadzają do skończonej doskonałości. Rzemiosło francuskie, literatura, sztuka — są tego wyrazem.

Kładąc nacisk na tego rodzaju przymioty umysłu francuskiego, Curtius zwraca zarazem uwagę na to, że nie należy tu popełniać błędu — co się często zdarza Niemcom—i cechy dojrzałości cywilizacji francuskiej traktować jako jej wady. Zdaniem autora, nie należy sobie, w ten sposób, upraszczać obrazu Francji. Dojrzałość francuska jest bogata w ogromną wiedzę; poznała ona samę siebie, zna więc także niebezpieczeństwa, na jakie jest wystawiona i umie stawiać im czoła.

Francja zdaje sobie sprawę, iż naraża się ona na skrzepnięcie w kulcie przeszłości, i dlatego usiłuje posiąść niezbędną giętkość, by przystosować się do nowych czasów. Składa ona dowody elastyczności, której niedocenianie byłoby błędem.

Radykalizm, będący przeciwstawieniem tradycjonalizmu, jest w takim samym stopniu jak ten ostatni, jedną z cech charakterystycznych umysłu francuskiego.

Przytoczywszy szereg powszechnie znanych faktów z życia Francji, stwierdzających kontrastowość jej charakteru duchowego, jego elastyczność i zdolność odmładzania się, wyrywania się z form skrzepłych, Curtius konczy swoją analizę umysłu francuskiego w ten sposób: „Pomimo swoją cudowną rozmaitość, pomimo wszelkie sprzeczności i kryzysy wewnętrzne, Francja oraz jej cywilizacja składają świadectwo takiej jedności, jaką mogło wytworzyć tylko długie, zbiorowe doswiadczenie historji. We Francji wolnomyśliciele są stworzeni z tej samej gliny, co wierzący, buntownicy używają tego samego słownika, co zachowawcy, intelektualiści mieszają się z politykami, a książęta nauki rozumieją mowę artystów. Wszystkie warstwy narodu zdają się posiadać wspólny zasób idej oraz uczuć, i wszystkie domagają się od życia spełnienia tych samych pragnień“.

Francja w całości swojej doszła do jedności odrębnej osoby.

Personifikacja Francji przeniknęła głęboko w świadomość narodu. Samo tylko miano: „Francja“ pozwala już na uosobienie ojczyzny, podczas gdy słowo „Niemcy“ — powiada autor — nie upoważnia do tego. „Francja“ żyje w świadomości francuskiej pod postacią bohaterskiej i uroczej kobiety.

Francja, mówi na zakończenie swej książki Curtius, potrafiła ukuć ten mit o samej sobie. W tem spoczywa tajemnica jej niezrównanej mocy, jaką miała zawsze nad duszami we wszystkich epokach jej dziejów, a najwięcej poczynając od 1789 roku.

W tem wszystkiem, jak widzimy, jest sporo trafnego sądu o Francji, dużo szczerego uznania dla jej cywilizacji; jest nawet cokolwiek dyskretnego podziwu wobec jej odrębności i wyrazistości duchowej. Curtius potrafi mieć nawet „manjery” iście wersalskiej uprzejmości w sposobie traktowania niektórych faktów z życia „uroczej kobiety“, będącej uosobieniem Francji, boć przecie to między innemi, co mówi o jej jedności, niezupełnie zgadza się z rzeczywistością.

Właśnie od 1789 roku rozpoczyna się nieustanne rozprzęganie jedności charakteru duchowego Francji, osłabianie mocy jej cywilizacji.

Przykładają się do tego spadkobiercy ideałów W. Rewolucji, przedewszystkiem mająca przewagę

po dziś dzień w życiu zbiorowem Francji trjumfująca od 1789 r. warstwa narodu — burżuazja.

Przykładem służyć może zaniedbywanie tradycyjnej kultury klasycznej, która systematycznie wypierana jest z wychowania narodowego. Walczą o nią wprawdzie wybitni jej miłośnicy, uczone instytucje i stowarzyszenia (jak dzisiaj np. „*L'Association Guillaume Budé*“ i t. p.), nie znajdują jednak należytego poparcia w sferach rządzących.

Ubolewał z tego powodu i ironizował na ten temat nawet Jaurès (sam niezły „humanista“, jak każdy uczeń „*Ecole Normale Superieure*“), mówiąc w Izbie na schyłku ubiegłego stulecia:„ Jeśli nie zachowacie dla studjów klasycznych czegoś w rodzaju premji społecznej, jest rzeczą widoczną, iż znikną one wobec studjów łatwiejszych, podobnie jak w sprawie obiegu monetarnego zły pieniądz wypiera dobry... Szczególniejsze postępy czynicie, panowie, na drodze upadku. Sami zdzieracie z siebie ozdoby, pomniejszacie się. I oto dlaczego głosujemy razem z wami (z centrum).“

Nadaremnie dzisiaj znakomici klasycy, jak prof. Puech, Paul Mazon i t. p. przedstawiają p. ministrowi de Monzie, że kultura klasyczna „pozostaje we Francji potęgą czynną, z którą niepodobna się nie liczyć“, nic to jednak p. ministra nie wzrusza, nie przyznaje bowiem większego znaczenia tym drobnym — jak się wyraził — zastrzeżeniom kulturalnym (p. „*Le Temps*” 8 lipca b. roku).

Powróćmy wszakże do książki Curtius'a. gdy Rozstaję się z nią, przychodzi mi znowu na myśl „*De L'Allemagne*“ p. de Staël, dzieło to bowiem popełnia ten sam błąd, co książka niemiecka o Francji.

Pani de Staël unosi się nad Niemcami, jako krajem nietylko „wierności i lojalności“, lecz i entuzjazmu, bezpośredniości uczuć szlachetnych, siły wyobraźni oraz głębi myśli, a to wszystko w przeciwstawieniu do racjonalizmu francuskiego, nie przemawiającego wprost do serca. Curtius o wiele oględniej przeciwstawia sobie charaktery umysłowe dwóch narodów, jednakże i on daje często do zrozumienia, że genjusz francuski przebywa raczej na ziemi, niż wznosi się ku niebiosom, że nie posiada poczucia nieskończoności i t. p., podczas gdy niemiecki ukochał wszelkie szczyty ducha, doznaje „dreszczów orfickich“ i wznosi się ponad rzeczywistość ziemską.

Co do p. de Staël, to ta, słusznie z wielu względów, mogła myśleć w ten sposób o współczesnych sobie Niemcach i Francuzach, chociaż i wówczas, gdy chodzi o tych ostatnich, nie brakło im entuzjazmu: w jednej zwrotce „Marsyljanki“, w „biuletynach“ napoleońskich i t. p. — mogłaby przecie wyczuć niemniej skupionego zapału i porywu uczuć, jak w nieco ociężałej poezji i filozofji niemieckiej.

Curtius natomiast już z mniejszem prawem może francuskiej „mądrości“ praktycznej i poczuciu rzeczywistości przeciwstawiać bezpośredniość duszy i transcendentalizm umysłu niemieckiego. Niemiec bowiem współczesny znacznie się różni od tego z przed 120 lat; lot jego umysłu zniżył się bardzo do poziomu ziemskiego, wyobraźnia jest mocno przeniknięta rzeczywistością, a rzekoma bezpośredniość uczuć, gdy chodzi zwłaszcza o brutalne jej manifestacje, jest dobrze, na zimno, obrachowanym sposobem walki z przeciwnikami.

„Kultura“, niemiecka także zmieniła się znacznie, przestała już być wyrazicielką wyższej działalności umysłu, jak za czasów Humboldta i pięknoduchów wejmarskich: wdarło się do niej z biegiem lat sporo pierwiastków, czerpiących swój zasiłek „twórczy“ wprost z instynktów, z żądzy chciwej podbojów ziemskich natury germańskiej.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

ZAGROŻONE WITRAŻE

ZAKOPANE stanowi jeden z najpiękniejszych klejnotów ziemi polskiej, a to nietylko ze względu na odrębność i starożytność kultury miejscowej i szczepu, który ją stworzył, ale i z powodu cudowniej swojej oprawy górskiej. Dlatego stało sie przedmiotem pożądliwości wszelkiej Nowobogacji. Od pewnego czasu zapycha ona Zakopane dokuczliwą obecnością swojego cielska i... „ducha“. Mało jej przebywać i mieszkać w letniej stolicy kraju, ona chce jeszcze ją na swój sposób unowocześnić, to znaczy — zeszpecić. Powstał tedy opór ze strony ludności miejscowej, oraz ludzi dbających o kulturę. Stąd wywiązała się wojna o styl podhalski, której echa odbiły się również w „Myśli Narodowej“. Szkodnictwo Chamulców nowoczesnych wyraża się w tej wojnie głównie w postaci nowych budowli, ponad wszelką już miarę pokracznych, ale nie zaniedbuje też pracy burzycielskiej, jak o tem świadczy ostatni co do czasu zamach na witraże Stanisława Witkiewicza, kościołek zakopiański zdobiące.

Sprawa tego zamachu przedstawia się dość osobliwie, podeptano tu bowiem wszystko, od godności artystycznej począwszy, a kończąc na wyraźnych przepisach prawa i rozporządzeniu Prezydenta Państwa. Pewien, mianowicie, malarz nazwiskiem Janusz Kotarbiński uzyskał zamówienie na polichromję parafjalnego kościoła zakopiańskiego. Zamiast, jednak, dostosować styl swojego projektu do istniejących tu i w dobrym stanie będących witrażów Witkiewicza, uznał za stosowne usunąć je, a na ich miejsce wstawić swoje projekty witrażowe. Postępek ten wywołał oburzenie parafji, ludności podhalańskiej, oraz towarzystw artystycznych i kulturalnych na Podhalu czynnych. Posypały się protesty, podania do władz świeckich i kościelnych, odczyty na zebraniach i głosy prasy, piętnujące barbarzyństwo zamaszystego zamachowca i jego wspólników. Następujące zestawienie główniejszych w tej sprawie wystąpień jasno ją naszym czytelnikom przedstawi:

Do rąk Jego Ekscelencji Księcia Metropolity Adama Sapiehy w Krakowie dnia 9 kwietnia 1931 r. Związek Podhalan złożył petycję w sprawie opieki nad zabytkami stylu zakopiańskiego w zakresie sztuki kościelnej. W petycji wymieniono między inneni zosobna witraże Witkiewicza w zakopiańskim kościele parafjalnym i tak ją zakończono:

„Ośmielamy się więc zwrócić do Jego Ekscelencji z gorącą prośbą: 1) o traktowanie wyżej wymienionych pomników twórczości Witkiewicza w stylu zakopiańskiem w zakresie sztuki kościelnej,

jako zabytków sztuki, chronionej przez władze konsystorskie; 2) o zatwierdzanie takich planów zdobienia wymienionych kościołów i kaplic, które nie stoją w sprzeczności ze znajdującemi się w nich zabytkami sztuki podhalańskiej.

Jednocześnie Związek Podhalan zwrócił się do pana Wojewody krakowskiego z memorjałem, motywującym konieczność roztoczenia opieki nad świeckiem budownictwem na Podhalu i o zaliczenie świeckich dzieł architektonicznych i zdobniczych Witkiewicza do zabytków, podlegających opiece Państwa (w myśl rozporządzenia Prezydenta Rzpltej z dnia 6 marca 1928 r. o ochronie zabytków).

Prezydjum Komitetu Witkiewiczowskiego wydało ogłoszenie, które tu przytaczam w całości: „Rozpowrzechniła się opinja malarza, który podjął się polichromji kościoła parafjalnego w Zakopanem, o konieczności zastąpienia stylowych, góralskich okien w Prezbiterjum przez witraże jego własnej kompozycji, na skutek rzekomego zniszczenia okien Witkiewicza. Wobec tego Prezydjum Komitetu Witkiewiczowskiego zwróciło się do przebywającego w Zakopanem artysty p. Henryka Nostitz-Jackowskiego, właściciela wielkiego zakładu artystycznego witraży „Polichromja" w Poznaniu, z prośbą o fachową ocenę stanu tych okien i o kosztorys konserwacji, aby zorjentować się, czy Komitet zdoła ponieść koszty naprawy. Wobec publicznego charakteru tej sprawy cytujemy dosłownie opinję rzeczoznawcy:

„Polichromja" — Zakłady Artystyczne Witrażów, Malarstwa Kościelnego i Dekoracyjnego w Poznaniu, ul. Dąbrowskiego 79. Poznań dnia 22 sierpnia 1931 r. Poświadczam niniejszem, że w czasie mej bytności w sierpniu r. b. oglądałem na życzenie członków Komitetu Witkiewiczowskiego witraże kościoła parafjalnego w Zakopanem. Skonstatowałem, że witraże te znajdują się naogół w dobrym stanie i że pod względem technicznym zbudowane są solidnie i racjonalnie, co dotyczy zwłaszcza witraży w Prezbiterjum. Natomiast kilka pól prawej i lewej nawy, resp. kaplic wymagają naprawy. Koszty remontu ogólnego nie powinny przekroczyć sumy zł. 1500, nie licząc kosztów nowego okitowania i przemalowania konstrukcji żelaznej u wszystkich okien. (—) Henryk Nostitz-Jackowski (pieczęć) „Polichromja".

Zaznaczyć należy, że piękne witraże w Prezbiterjum, wyobrażające motyw góralski leluj w czerpakach, są unikatami zastosowania stylu zakopianskiego do witrażownictwa kościelnego i były ufundowane przez górali: jeden przez ś. p. Wojciecha Roja, drugi zaś przez rodzinę Krzeptowskich".

Oddział Sztuki przy Krakowskim Urzędzie Wojewódzkim wpisał do rejestru zabytków witraże w kościele paraf. w Zakopanem, wykonane według kartonów St. Witkiewicza. Mimo to ks. dziekan przystąpił do gospodarowania temi witrażami wbrew Rozporządzeniu Prezydenta R. P. o opiece nad zabytkami, dysponując niemi według własnego planu. Oddział Sztuki przesłał w tej sprawie do ks. Dziekana pismo, w którem zwraca uwagę na rozbieżność jego poczynań z wymienionem Rozporządzeniem. Dodano przytem, że wszelkie prace około zabytku, a szczególnie wpisanego do rejestru, wymagają uprzedzenia konserwatora i uzyskania jego zezwolenia. Inaczej żadnych robót przy zabytkach wykonywać nie wolno (art. 14 i 15).

Zdawałoby się, że dokumenty i fakty wyżej przytoczone rozstrzygają sprawę zasadniczo na korzyść witraży Witkiewicza. Mimo to niebezpieczeństwo nadal im grozi, a jak oceniane jest przez prasę, niech o tem da wyobrażenie wzmianka dziennikarska z krakowskiego „Il. Kurj. Codziennego", oraz dwa głosy publicystów. Wzmianka mówi:

„W Zakopanem rozpoczęto malowanie wielkiego kościoła parafjalnego według projektu art. malarza Janusza Kotarbińskiego. Koszt malowania, instalacja wentylacji oraz nowych witraży mają przenieść kwotę 100 tysięcy złotych. Zastanawiające jest, dlaczego przy pracach tych nie biorą zupełnie udziału malarze z licznej grupy Zw. Art. Plast. w Zakopanem, a nawet do robót wykonawczych i pomocniczych zaangażowano podobno pracowników zdaleka za znacznie wyższe sumy, aniżeli otrzymanoby tę pracę u miejscowych malarzy. Sprawa polichromji kościoła parafjalnego zakopiańskiego jest sprawą niewątpliwie nietylko parafjalną, i sądzimy, że stoi ona na wyżynach wielkiej sztuki kościelnej, która w Zakopanem, miejscowości o wspaniałych tradycjach sztuki i regjonalizmu, ma specyficzne zabarwienie. Jednocześnie zastanawiać musi los witraży witkiewiczowskich w kościele, o których niejednokrotnie już było głośno w Polsce. Czy istotnie w tak wielkiem zagadnieniu zakopiańskiem a nawet ogólno - państwowem zarazem — musi być tyle stron niejasnych, budzących powszechne obawy i sprzeczne pogłoski?"

Tyle wzmianka, którą przytaczam jako typową dla sprawy tej opinję prasy. Z głosów publicystycznych niechaj tu przemówią dwa: w „Czasie" krakowskim z dnia 4 marca 1931 Ks. Dr. Tadeusz Kruszyński (konserwator konsystorski) jest „głęboko przekonany, że bezwględnie wszystkie jego (—(Witkiewicza)—) dzieła, jako świadectwa historyczne osobnego kierunku rodzimej myśli i sztuki narodowej, powinne nawet być otoczone urzędową opieką władz". Rozprawkę swoją ksiądz Kruszyński kończy okresem następującem: „Przyjaciele starego Zakopanego, z zasłużonym Janem Gwalbertem Pawlikowskim na czele, z trudem starają się zachować charakter dawny, rodzimy miejscowości, ginący, niestety, coraz więcej pod naporem obcych żywiołów, nie wnoszących żadnej kultury, ani sztuki. Społeczeństwo zakopiańskie powinno skupić się wokoło ludzi, przedstawiających tak tradycję, jak sztukę miejscową, w pracy nad zachowaniem prawdziwie „zakopiańskiego" Zakopanego".

Opinję tę podtrzymuje również krytyk sztuk plastycznych p. Jan Kleczyński w „Kurjerze Warszawskim". Dzielną obronę witraży Witkiewicza, tak p. Kleczyński rozpoczyna („Kurjer Warszawski" 13 lipca 1932):

„Dziwnym jesteśmy krajem: Mamy znakomitych artystów, mnóstwo ludzi, interesujących się sztuką i rozumiejących ją — a jednak wciąż musimy się opędzać przed czynami jednostek, czy grup, których pomysły sieją zamęt w świecie kultury i grożą jej niszczeniem".

Wystarczy przytoczonych powyżej dokumentów i głosów opinji sfer kulturalnych, ażeby sprawę zagrożonych witraży Witkiewicza uznać za rozstrzygniętą w teorji, zgodnie z wymaganiami kultury i sztuki. Ale mamy obecnie w Polsce stałą sprzeczność pomiędzy teorją, kulturą, rozumem, sztuką i rozsądkiem z jednej strony, a praktyką — z drugiej. Słusznie łagodny zawsze krytyk p. Kleczyński sięgnął w tym wypadku do słowa „opędzać

się", niby przed zgrają złośliwą. W najprostszej, w najjaśniejszej sprawie byle „jednostka, czy grupa" zmusza dziesiątki i setki ludzi do mobilizowania sił, straty czasu i energji dla obrony niewątpliwej własności narodowej i wartości artystycznej przed uroszczeniami i zamachami barbarji nowoczesnej. Doszło do tego, że trzeba szeroko tłumaczyć, kim jest Stanisław Witkiewicz, czem dla kultury i sztuki są jego dzieła, co to wogóle jest dzieło sztuki, zabytek, własność publiczna itd., a wreszcie i to, że obowiązuje prawo, ustawy i rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ROSJANIN O KOŚCIUSZCE

MOSKIEWSKI „Gosizdat" wydał niedawno ciekawe pamiętniki zmarłego przed siedemdziesięciu paru laty N. J. Lohrera p. t. „Wspomnienia dekabrysty", uzupełnione dodatkiem p. t. „Wspomnienia oficera rosyjskiego". Z dodatku owego, opublikowanego świeżo w przekładzie francuskim przez paryskie wydawnictwo *„Les oeuvres libres"* wyjmujemy ustęp, który powinien zainteresować czytelników polskich. Scena opisana w poniższym ustępie rozegrała się w pierwsze święto Wielkiej Nocy r. 1814, wkrótce po kapitulacji Paryża i wkroczeniu do stolicy Francji wojsk monarchów, sprzymierzonych przeciwko Napoleonowi:

„Pomimo święta bataljon mój miał tego dnia pełnić straż przy Pałacu Elizejskim. Po krótkiej rewji, która udała się wspaniale, wmaszerowaliśmy z orkiestrą na czele na dziedziniec pałacowy. Zajęliśmy stanowisko przy prawem skrzydle pałacu, mając naprzeciwko oddział Gwardji Narodowej. Żołnierze nasi śmieli się do rozpuku z niezgrabności „cywilnych wojaków" francuskich. Zaledwie zdążyliśmy zająć nasz posterunek, wybiegł przed podjazd pałacu szef sztabu generalnego książę Wołkoński i przywoławszy służbowego kapitana oświadczył mu, co następuje:

— Cesarz spodziewa się wizyty jenerała Kościuszki. Życzy sobie, żeby gwardja oddała jenerałowi honory należne randze feldmarszałka. Te same honory gwardja odda przy wyjściu jenerała z pałacu. Niech pan zwróci baczną uwagę — dorzucił książę surowym tonem — żeby się nie pomylono co do osoby jenerała. Będzie pan za to osobiście odpowiedzialny.

Stojąc niedaleko księcia słyszałem wyraźnie ów rozkaz. Nie był wcale łatwy do wykonania. Jakim cudem rozpoznać słynnego jenerała polskiego? Po czem odróżnić jego powóz od niezliczonego mnóstwa innych? Kapitan zmartwił się i zaniepokoił. Na szczęście mogłem wlać mu do serca nieco otuchy. Podczas niedawnego przemarszu przez Polskę miałem sposobność oglądać we dworze pewnego szlachcica portret Kościuszki. Wiedziałem, że jenerał jest miernego wzrostu i że ma nos zadarty. Staliśmy tedy, jak przygwożdżeni, przed pałacowym podjazdem, wyczekując przybycia słynnego patrjoty polskiego.

W Pałacu Elizejskim zachowywano oddawna zwyczaje dosyć osobliwe. Ustalone było raz na zawsze, że tylko książęta krwi mieli prawo zajeżdżać powozami na dziedziniec i wysiadać przed podjazdem. Wszyscy inni dygnitarze wysiadali z powozów na ulicy i kroczyli przez dziedziniec z odkrytemi głowami. Oryginalny ów dworski obyczaj był w czasach, o których piszę, bardzo surowo przestrzegany.

Powozy zajeżdżały przed bramę wjazdową, jedne po drugich sznurem nieprzerwanym. Kilka szczególnie bogato przyozdobionych karet, zaprzężonych w przepyszne konie, zajechało przed sam pałac. Wysiedli z nich książęta krwi: książę de Berry, książę d'Artois i paru innych. W tym samym czasie zauważyłem kroczących pieszo przez podwórzec marszałków Francji: Ney'a, Marmont'a, de Grouchy'ego i wielu innych, których nazwisk sobie już nie jestem w stanie przypomnieć. Podwórzec powoli się zaczął wyludniać, ruch się zmniejszył, zapanowała cisza, a naszego Polaka jak niema tak niema.

Nagle ujrzeliśmy starą dorożkę, pomalowaną na żółto i zaprzężoną w dwie zajeżdżone szkapy. Na drzwiczkach odrzynała się wyraźnie biała cyfra: Nr. 29.

Z dryndy owej wysiadł siwiutki staruszek w błękitnym mundurze z poziomkowym kołnierzem. U boku miał szpadkę. Pod pachą trzymał kapelusz.

Dobra! Nie bardzo dokładnie sobie przypominam, jak ceremonja się odbyła, wiem tylko tyle, że wszyscy nasi koledzy wykrzyknęli, jakby pod wpływem objawienia jakiego: „To jenerał Kościuszko!" Kapitan zakomenderował: „Panowie oficerowie na miejsca! Baczność! Prezentuj broń!!!" Oddział doboszów jął bębnić werbel. Jenerał przeszedł drobnym krokiem przed szeregami, kłaniając się i pozdrawiając nas bardzo uprzejmie. Książę Wołkoński wybiegł na jego spotkanie i zaprowadził staruszka do cesarza. Odetchnęliśmy z ulgą. Dzięki Bogu wszystko poszło gładko.

W taki to sposób cesarska gwardja rosyjska oddała honory wielkiemu patrjocie polskiemu, przyjacielowi Washingtona".

Autor powyższych wspomnień Mikołaj Lohrer był z pochodzenia Francuzem. Rodzina jego za czasów walk religijnych przesiedliła się do Niemiec i asymilowała się tam z czasem całkowicie. Pradziad autora przeniósł się do Rosji i ożenił z Rosjanką. Wreszcie ojciec Mikołaja Lohrera poślubił gruzinkę. Pozatem o autorze „Pamiętników Dekabrysty" posiadamy wiadomości biograficznych bardzo niewiele. W. I. Szenrok (biograf Gogola), odmalowuje nam go temi słowy:

„Po ojcu odziedziczył Mikołaj Lohrer, żywość temperamentu, pomysłowość i wrażliwość francuską. Matka mu przekazała płomienną imaginację i lenistwo właściwą swojej rasie. Umysł miał lotny, umiał świetnie rozmawiać i bardzo lubił towarzystwo. Mówił pięciu językami. W każdym obcym kraju czuł się jak u siebie w domu".

Po wojnie 1812 — 1814 Mikołaj Lohrer wrócił do Rosji, gdzie wstąpił do tajnej organizacji rewolucyjnej, która się krzewiła w aryskratycznych sferach Petersburga. Brał udział w rewolucji grudniowej. Został zesłany na Syberję. Pamiętniki jego, spisane w wieku podeszłym, cieszą się obecnie w Sowietach wielkiem powodzeniem.

SIGMA

NA WIDOWNI

Uroczystość w Częstochowie. — Jej opis w warszawskim dzienniku. — Kwestja smaku. — Niewłaściwy termin zjazdu. — Pośpiech w stawianiu pomników.

DNIA 14 i 15 b. m. na Jasnej Górze obchodzona była wspaniała, wzruszająca uroczystość: oto pięćset pięćdziesiąt lat minęło od chwili, gdy Władysław książę Opolski umieścił na wzgórzu tem, odtąd historycznem Cudowny Obraz, przeniesiony na krótko przedtem z zamku Bełzkiego i powierzył Go opiecie osadzonego tam wówczas właśnie zakonu OO. Paulinów. Od pięciuset pięćdziesięciu lat Najświętsza Panna Częstochowska panuje z wyżyn tego pagórka nad Rzecząpospolitą: błogosławiła jej w wiekach jagiellońskiej chwały, osłaniała w czasie szwedzkiego najazdu, krzepiła i koiła wiarą w jej wskrzeszenie w ponurym okresie niewoli. Cóż dziwnego, że ten drobny, kilkudziesięcio-metrowy wzgórek, na którym od lat pół tysiąca cudy stały się rzeczą powszednią, widoczny jest z najodleglejszych krańców Polski, że w dzień tego święta śpieszą w hołdzie do Częstochowy wielcy i mali, że ze czcią zginają się kolana, pokornie pochylają głowy: „Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko"...

Oto zaś jak przedstawia się opis tego jubileuszu w najpoczytniejszym z dzienników sanacyjnych stolicy, w „Expresie Porannym" (nr. 226 z dn. 15 b. m.) Wielki, czerwony, czteroszpaltowy tytuł na pierwszej stronie: „Prezydent Rzeczypospolitej na Jasnej Górze". Poniżej niedużemi czarnemi literami objaśnienie: „wśród 300-tysięcznej rzeszy pielgrzymów". W długim, zgórą dwusto-pięćdziesięcio wierszowym opisie ani słóweczka o rocznicy, jakgdyby owo przybycie Głowy Państwa nie było konsekwencją naturalną wielkiego, religijno narodowego święta, ale święta tego — jedyną przyczyną. „Sylf redakcyjny" notuje: „Godzina 4-ta po poł. Częstochowa oczekuje przyjazdu P. Prezydenta. Ulice ustrojone flagami. Bramy triumfalne, balkony obwieszone dywanami i umajone zielenią. Tłumy, tłumy snują się po ulicach". Czyż gdyby było tylko pięćset-pięćdziesięciolecie Jasnej Góry, bez przyjazdu Pana Prezydenta, Częstochowa nie byłaby równie odświętnie przystrojona? I czyż „tłumy, tłumy" nie przybyłyby tak samo, żeby klęknąć przed Majestatem Królowej Polskiej Korony?

Reporter niewątpliwie uważał za rzecz najbardziej poprawną, ażeby całą uwagę przy opisie uroczystości częstochowskich skupić wyłącznie na osobie Pana Prezydenta Rzplitej. Poprostu nie był nawet zdolny się domyśleć, że bywają sytuacje, w których „powaga władzy" nie traci zgoła, jeżeli się ją ukaże w postawie najbardziej kornej, najskromniejszej, ale nader nieprzyjemne wywołuje wrażenie wszelki objaw zbytku gorliwości w kierunku przeciwnym. Podobne niezrozumienie, nie zawsze w postaci aż tak jaskrawej, raz po raz zauważyć można w wystąpieniach pisarzy i działaczy sanacyjnych, w prześciganiu się—w chwilach najmniej odpowiednich—w nadmiarze oficjalnego „zapału". W czem szukać przyczyn tej tak powszechnej dziś, tak dla obecnych stosunków charakterystycznej nieumiejętności zachowania właściwej miary? Typ Nikodema Dyzmy z powieści Dołęgi-Mostowicza zatrjumfował w całem naszem życiu publicznem. Często nie zła wola nawet, tylko zupełny brak kultury duchowej, nieznośny brak smaku...

*

W roku bieżącym, właśnie w dniu 15 sierpnia, dzienniki sanacyjne przepełnione były na naczelnych miejscach opisami uroczystości, w związku z odbytym dnia poprzedniego w Gdyni dorocznym zjazdem legjonistów: sprawozdania z obchodu, przemówienia, depesze, specjalny list min. Piłsudskiego i urywek z nieogłoszonego dotychczas jego wywiadu, raz jeszcze powracający do nie dającego mu spokoju tematu wydarzeń z dnia 6 sierpnia 1914 roku i przesubtelnych (w stylu wicemarszałka Cara) roztrząsań co do rodzaju politycznej czy też „tylko" wojskowej zależności ruchu strzeleckiego od ówczesnej c. i k. armji austrjacko-węgierskiej...

Zrozumiałe jest, że członkowie tych czy innych formacyj polskich z okresu wojny światowej chętnie po latach nawracają do wspominków swoich pierwszych przeżyć żołnierskich. Sami wszakże legjoniści stwierdzają stale, że ich działalność w tym czasie niezgodna była z poglądami i nastrojami ogółu społeczeństwa polskiego, że stanowili grupkę „straceńców", która wbrew wszystkim, na własne ryzyko wybierała sobie drogę postępowania, jaką uznawała za właściwą. Czy więc było rzeczą najodpowiedniejszą, by to wspomnienie wystąpienia grupy jednej obchodzić właśnie w dniach 14 i 15 sierpnia, w dniach rocznicy wielkiego czynu zbiorowego całego narodu, zjednoczenia wszystkich jego sił w zwycięskiej bitwie pod Warszawą? Czy było odpowiednie, że w tej dacie właśnie rozpamiętywaniom wyjścia Strzelców z Oleandrów (osiemnastolecie tego faktu przypadało zresztą o 9 dni wcześniej) poświęciła prasa obozu rządzącego całe stronice, o Cudzie Wisły napomykając krótko, gdzieś w dalszych częściach numeru, w zdawkowych, okolicznościowych notatkach?

Trudno przypuszczać, by organizatorowie zjazdu legjonistów chcieli celowo okazać lekceważenie rocznicy wielkiego narodowego trjumfu (do którego sami wszak w części się przyczynili), aby istotnie zależało im na manifestacyjnem zaznaczeniu, że w tym dniu nawet nie potrafią zespolić się z radością i dumą całego narodu, ale na stronie gdzieś, urządzają osobno swoje święto grupowe, wyodrębniają się dla święcenia własnej uroczystości. Ot, poprostu, znowuż tylko brak kultury duchowej, znowuż ten sam fatalny brak smaku...

*

SKONFISKOWANE

SKONFISKOWANE

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

WIELKA MIĘDZYNARODOWA OLIMPJADA SPORTOWA W LOS ANGELES dobiegła końca. Przyniosła ona sportowcom polskim kilka sukcesów, przedewszystkiem piękny rekord w biegu na 10.000 mtr. Janusza Kusocińskiego. Zaznaczyć warto właściwy całkiem stosunek polskiej opinji publicznej do Olimpjady i osiągniętych tam wyników: widoczny na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu rozwój naszego sportu (pozwalający nam dziś już bez kompromitacji brać udział we współzawodnictwie międzynarodowem) powszechnie jest przez społeczeństwo polskie doceniony, nikt wszakże bodaj nie uważa biegu Kusocińskiego za wielki czyn o znaczeniu narodowem, nikt nie robi zeń bohatera, nie zamierza stawiać mu pomników, jak w Finlandji Nurmiemu. Zaczynamy pod tym względem mieć postawę, godną wielkiego narodu, który nie wpada odrazu w ekstazę radości i dumy, że „mówią o nim“ z powodu tego czy innego sukcesu na bieżni lub *ring*'u bokserskim.

Zapewne, kult rekordzistów sportowych, popularność, jaką cieszą się oni w społeczeństwie, w wysokiej mierze przyczynia się do podniesienia poziomu sportowego w kraju, pobudzając młode ambicje do *maximum* wysiłku we współzawodnictwie. Pomniki Nurmiego i jego chwała w ojczyźnie nie mało zaważyły na fakcie, że dziś już nie jego jednego, ale całą grupę młodszych, najwyższej klasy szybkobiegaczy wysyłać może naród finlandzki na międzynarodowe zawody sportowe. Z drugiej strony wszakże nie jest rzeczą wskazaną, aby w opinji narodowej w nieodpowiedni sposób wytwarzała się hierarchja zasług i wartości. Zdaje się, że instynkt polski pod tym względem zdrowszy jest od wielu społeczeństw w Ameryce i w Europie.

NA JEDNEJ ZE STACYJ KOLEJOWYCH zauważyłem w przejeździe kolorowy niemiecki afisz propagandowy, z widokiem z Zagłębia Saary i napisem *„Saarbrücken nicht vergessen“*. Niewątpliwie koleje nasze otrzymały to jako afisz turystyczny, wzamian za wysyłane przez nas zagranicę plakaty, zachęcające cudzoziemców do zwiedzania Polski i jej zabytków. Czy wszelako nie jest rzeczą niewłaściwą popierać na kolejach państwowych niemiecką propagandę p o l i t y c z n ą, zwróconą przeciwko Traktatowi Wersalskiemu, a w szczególności przeciwko Francji, która Zagłębie Saary, jak wiadomo, ma obecnie pod swoim zarządem? Czy w dyrekcjach kolejowych nie powinno się dokładniej badać treści plakatów, zanim zatwierdzi się je i prześle do wystawienia na dworcach na prowincji?

W SPRAWIE GRANIC WSCHODNICH POLSKI

W „Myśli Narodowej“ z 17.VIII 1932 r., w artykule: „Jak to było z granicą wschodnią“, wyrażona jest opinja, iż „wszyscy Polacy, którzy o sprawach tych“ (t. j. dotyczących granicy wschodniej) „cośkolwiek wiedzą,— powinni wiedzę swą uprzystępnić ogółowi“. Wyrażony jest nadto żal, iż — między innemi — „nie mamy pamiętników prof. Stan. Grabskiego, wybitnego uczestnika szeregu poczynań polityki wschodniej“.

Jako siostra Stanisława Grabskiego, oraz powiernica wielu jego myśli i planów, wyrażam obawę, iż brat pożądanych pamiętników nie napisze. Wiem bowiem, iż czuje on niechęć do pisania o sobie i o sprawach, w których brał wybitny udział. Więc poczuwam się do obowiązku, by to niewiele, które jest mnie znanem, przesłać „Myśli Narodowej“, w odpowiedzi na umieszczone w niej wezwanie.

Z projektem paryskiego Komitetu Narodowego odnośnie do granic wschodnich Polski, zapoznałam się w końcu 1918 roku w Krakowie, gdy Stanisław Grabski przybył tam, wracając do kraju jako delegat Komitetu. Odwiedzało go (w mojej obecności) wielu polityków, także i z obozu, który później najsilniej krytykował politykę narodowo-demokratyczną w stosunku do granic wschodnich. Wówczas wyrażali oni duże zadowolenie z projektu Komitetu Narodowego. Nic dziwnego! Dawał on nam wszak wszystko, co w orbitę kultury polskiej wchodziło, oraz potrzebne było Polsce ze względów politycznych.

Czy granicę taką dałoby się uzyskać, zawierając pokój z bolszewikami w zimie 1919-20 r.? Zapewne tak, o ile bolszewicy istotnie pokoju chcieli. Trocki w swej autobiografji twierdzi, iż chcieli, inne źródła sowieckie zgadzają się z tem. Zaś Polacy — między innymi gen. Władysław Sikorski — utrzymują, że bolszewicy rokowaniami uśpić chcieli czujność polską, szykując się jednocześnie do ofensywy na wiosnę. Kto ma rację? — historja wyświetli to zapewne w przyszłości. Faktem jest jednak, iż po nieudanej wyprawie na Kijów i odwrocie wojsk polskich latem 1920 r., sytuacja Polski — mimo wygranej bitwy pod Warszawą i przepędzenia bolszewików — była jesienią tegoż roku znacznie gorsza, niż ubiegłej zimy. Polska była zbyt wyczerpana, aby ryzykować przeciąganie się stanu wojennego przez zimę i nową kampanję na wiosnę. Cały kraj wzdychał do pokoju, Sejm cały go pożądał, stan skarbu był fatalny, marka spadała, państwa nam przyjazne naciskały na Polskę w kierunku pokoju, plebiscyt na Górnym Śląsku się zbliżał. Bolszewicy też chcieli pokoju, ale wiedzili dobrze, że i Polska go potrzebuje, więc do wielkich ustępstw nie byli pochopni, tembardziej że podtrzymywani byli w oporze przez Niemcy, pragnące odwlec pokój ze względu na plebiscyt górnośląski. W Warszawie, w Rządzie i Sejmie, zdawano sobie dobrze z tego sprawę i dlatego — wiem to dokładnie — gdy nadeszła wiadomość o granicy, uzyskanej przez polski Komitet Terytorjalny podczas rokowań w Rydze, ogólne było zadowolenie, zaś prezesowi tego Komitetu, Stanisławowi Grabskiemu, nie szczędzono powin-

szowań i pochwał. Dopiero później, po zawarciu pokoju, część kresowców, których majątki pozostały poza Polską, zaczęła oburzać się na ustanowioną granicę, a z biegiem lat szerzyć się począł w różnych kołach pogląd, iż w Rydze uzyskać mogliśmy wszystko, czegośmy tylko zapragnąć chcieli, a nie uzyskaliśmy jedynie z winy tych czy innych politycznych czynników, tych czy innych osobistości.

Pamiętam, iż brat zaraz po swym pierwszym przyjeździe z Rygi, mówił mi, że lepszych dla Polski granic nie da się w danych warunkach uzyskać. Chodziło mu bardzo o powiaty: kamieniecki i płoskirowski, mające stosunkowo znaczny odsetek ludności polskiej. Ale powiaty te przez decydujące w Polsce czynniki odstąpione były petlurowskiej Ukrainie, której sprawy też same czynniki nie uważały jeszcze za zlikwidowaną. Na Polesiu udało się posunąć granicę polską tak daleko, jak tego strategiczne wymagały względy. Co do Mińska, to bolszewicy uparcie go bronili, a wzamian zgodzili się na szeroki dla Polski korytarz do granicy łotewskiej. O ile wiem, korytarza tego domagał się szczególnie Stanisław Grabski, przedewszystkiem dlatego, iż odcinał od Bolszewji Wileńszczyznę, której losy były jeszcze w zawieszeniu, oraz Litwę kowieńską.

Sądzę, iż dla wyświetlenia odpowiedzialności za granicę, wyznaczoną w Rydze, należałoby — oprócz wyszczególnionych już w „Myśli Narodowej" kwestyj — zbadać i to także, jakie były instrukcje, otrzymane przez polską Delegację, jakie stanowisko zajmowały wobec pokoju z Sowietami i wobec wschodniej naszej granicy polskie stronnictwa polityczne, które dla rokowań w Mińsku, a potem w Rydze, wyznaczyły swych przedstawicieli, jakie postulaty wysuwała naówczas prasa polska, oraz organizacje ziem wschodnich. Wszystko to bowiem musiało mieć wielki wpływ na mniej lub więcej upartą obronę polskich roszczeń w targach z bolszewikami.

Kończę pytaniem: czy gdyby Polsce udało się było zmusić Rosję sowiecką do takich ustępstw terytorjalnych, które by ona za dotkliwą dla siebie uważała stratę,—mogłoby teraz społeczeństwo narodowe cieszyć się z paktu polskiego z Rosją, jako ze zwycięstwa słusznego poglądu, że wobec jawnie agresywnych zamiarów niemieckich koniecznem jest dla Polski zabezpieczyć się od napadu wschodniego sąsiada, między którym a państwem naszem nie istnieją obecnie żadne zaognione kwestje terytorjalne, uniemożliwiające pokojowe współżycie?

ZOFJA KIEDRONIOWA

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Rozpoczęte zaledwie badania nad historją polskiego mecenatu odsłonić kiedyś mogą wiele interesujących spraw przeszłości. Badania te, zainaugurowane metodycznie przez prof. St. Łempickiego ze Lwowa, nie wyszły wszakże zbytnio poza postulaty. Z tem większem zadowoleniem powitać należy każde nowe opracowanie monograficzne, zapowiadające daleką jeszcze syntezę ogólną. Zasłużona i żywa, mimo powszechnego kryzysu wydawniczego, Kasa im. Mianowskiego ogłosiła niedawno książkę Czesława Lechickiego p. t.: „Mecenat Zygmunta III i życie umysłowe na jego dworze". Monografja p. Lechickiego, z uwagi na zagadnienie swe i wyniki, zasługuje oczywiście na recenzję obszerniejszą na łamach pism fachowych. Nie powinna wszakże obok tej książki, znanej poprzednio w dwóch niewielkich fragmentach, przejść obojętnie czytająca publiczność. A oto dlaczego:

Bohater monografji, Zygmunt III, ponurą cieszył się sławą u potomnych. Autor opowiada ciekawie, jak stopniowo w opinji polskiej narastała owa zła sława, coraz gorsza, wywołana wielością przyczyn ideowych, politycznych, religijnych, których tu oczywiście wskazywać niepodobna. Tej to ciemnej kliszy Zygmunta—polityka i króla zapragnął p. Lechicki przeciwstawić kliszę jaśniejszą: Zygmunta — opiekuna sztuki i literatury. Rozproszone dookoła i znane zosobna szczegóły życia umysłowego tamtej epoki zebrano tu właśnie w okazały wolumen, skonstruowany tak jednak, że więcej w nim znaleźć o Zygmuncie, niż o jego mecenacie. Osobistość króla wystąpiła w świetle interesującem, na ekranie swojego wieku, w gronie rodziny i najbliższego otoczenia, w tłumie królewskiego dworu. Potoczyste pióro p. Lechickiego zarysowało wizerunek żywego człowieka, który dlatego właśnie pociąga nas i emocjonuje. Dwa rozdziały końcowe prawią czytelnikowi o stosunku króla do sztuki, artystów i literatów. Powiedzmy odrazu, że mecenat ów przybrał charakter pozytywny jedynie w dziedzinie sztuk plastycznych i muzyki, to znaczy tam, gdzie Zygmunt osobiście dyletanckich swych sił próbował. Literatura mniej ma Wazie do zawdzięczenia. Mecenasem prawdziwym, inspiratorem i opiekunem, okazał się on jedynie wobec Skargi. Ale taki „klijent" starczy wszak za tłum pomniejszych, panegirystów i rymołowców. W przedstawieniu p. Lechickiego negatywy działalności opiekuńczej króla niezawsze występują jasno. Złożyć to wypadnie na karb intencji rehabilitacyjnej książki.

Rzecz cała wymaga dyskusji obszerniejszej gdzieindziej. Warto wszakże zanotować, że w książce o Zygmuncie znaleźć można wiele interesującego materjału historycznego, który pozwala sprawiedliwiej ocenić panowanie tego tragicznego władcy. Książce, napisanej z temperamentem pisarskim, powinno nie zabraknąć czytelników. (T. M.)

*

Zapowiedziane niedawno wydawnictwo zbiorowe pism Władysława Orkana raźno postępuje naprzód. Doszły już do rąk czytelników dwa tomy powieści „W roztokach", oraz arcydzieło pisarza: „Drzewiej". Wydawnictwo realizuje się staraniem i zabiegami p. Wojciecha Meiselsa z Krakowa, znanego już wydawcy Kasprowicza. Redakcję naukową objął prof. Stanisław Pigoń.

Pomysł najlepszy, gorącego też godzien poparcia. Niedawna śmierć Orkana nie oznacza wszak śmierci artysty. Niechże zatem idzie w nasz świat czytelniczy pozgonne wydanie pism autora „Komorników", który zdobył dla siebie trwałą pozycję w historji literatury pod znakiem żywiołowego, rodem z gór, talentu.

Popularyzacji wydania przysłużą się znakomicie posłowia prof. Pigonia, zamykające poszczególne dzieła. Uwagi owe podają niezbędne informacje bibljograficzne, których znaczenie oceni najlepiej czytelnik naukowy,—świadom trudności ustalenia daty przy druku... nowoczesnym. Zwyczaj niedatowania książek, żywy ciągle mimo nieustających nawoływań, przyprawi kiedyś bibljografję o poważne kłopoty. Pisał o tem swego czasu — i właśnie z powodu Orkana — L. Płoszewski w „Ruchu Literackim".

Prof. Pigoń nie ogranicza się naturalnie do szczegółów bibljograficznych. Jego subtelne uwagi, ujęte w kształt skończony pod względem literackim, wyznaczają miejsce poszczególnych powieści Orkana na szlaku rozwojowym jego twórczości. Stanowią zatem niezbędny komentarz w czasie lektury. Przytem, jakże słusznie, nie wysuwają się na czoło. Do czytania jest powieść, nie zaś wstępy wydawcy. Dopiero po przeczytaniu powieści zajrzeć należy do tych uwag końcowych, celujących lapidarnością przedstawienia i rozumną ekonomją słowa. Pełne dyskrecji pośrednictwo naukowe prof. Pigonia nie zdziwi nikogo, kto ma w pamięci lwowskie wydanie Mickiewicza z r. 1929, pomyślane w sposób podobny.

Wszystko, co pisze Pigoń o Orkanie, jest ciekawe i nowe. Nie stwierdzenia ogólne: wiedziało się, że w dorobku 25-letniego autora przedstawia „W roztokach" „pierwszą... powieść wielką, dzieło wysokiej miary"; że „Drzewiej" stanowi „jedno z przednich arcydzieł" Orkana. Pobudliwą swą i świeżą nowizną zniewala uwagę szereg ocen i spostrzeżeń szczegółowych. Przy powieści „W roztokach": zaznaczenie wyżyn wielkiej koncepcji epickiej; zaznaczenie charakteru wsi Orkana, która jest „atomem społecznym", zróżniczkowana stanowo, jakże inna od wsi Reymonta, gdzie szaleją elementarne namiętności i uczucia; u Orkana dokonywa się dramat inny: dramat myśli społecznej.

Na marginesie klechdy „Drzewiej" rozciekawiają uwagi Pigonia o tragiźmie w twórczości autora, który przeszedł pod tym względem szeroką skalę ewolucyjną: aż do „wymiarów metafizycznych". Tragedja Prokopa i Daniela rozszczepiona na zmaganie się zła i dobra istotną swą treścią „sięga (już) bóstwa". (T. M.)

*

Ktoś nie bez słuszności powiedział, że wszyscy jesteśmy poetami, tylko nie każdy potrafi tego dowieść. P. Stanisław Helsztyński, znany autor streszczeń i tłumaczeń z angielskiego w „Wiadomościach literackich", zapominając, że okres romantyzmu minął bezpowrotnie, z młodzieńczym zapałem mierzy siły na zamiary. A zamiary, trzeba to przyznać, są wcale nieprzeciętne. Pragnąc widocznie podnieść upadającego już ducha rodzimego przez zwrócenie go ku ziemi ojczystej, tworzy poezję regjonalną i to osobliwą poezję regjonalną. I tak w ciągu niespełna roku ukazało się 7 tomików cyklu „Nad Wartą, Notecią i Odrą". a dalsze siedem jest w przygotowaniu. Trudności formalne nie istnieją, zda się, dla odważnego autora „Sonety inowrocławskie" i jeden z ostatnich tomików „Mnich opactwa lubińskiego" są tego dowodem. Na tę „balladę historyczną", która zajmuje 45 stron druku, składa się kilkanaście form poetyckich, od tercyny i oktawy do naśladowań prymitywów średniowiecznych i ludowych. Najwięcej poezji zawiera wstęp, zwany Apologją (słowo to stosuje się do autora i jest pięknym i rzadkiem przykładem skromności). Jest w nim parę zdań napisanych poprostu i szczerze. Trudnoby się jednak doszukać tych cennych przymiotów w samej balladzie.

Treść jej stanowi historja mnicha, który dał się namówić staremu świerszczowi do porzucenia klasztoru. Pociągnęło go „mrowisko mroków mrącej męki", „przekraśna baśni właśń" i „głośny świata śpiew, miłość siejący w kości, w myślach jaśń", zwiał więc z klasztoru, jak pszczółka na wyroju i wyrusza w świat, marząc jakby to „nie omieszkał pieczy znojnej" i „sam prowadził (inne pszczółki) w dąbrowy, by nastał słodu brak, czas wojny" i „sam słód w kwiaty kładłby hojny" i jakby to był szczęśliwy i „ nocą, ach nocą, gdy otoczą miesiąc i światy się szczelnie winą" słuchałby przyłożywszy ucho do ula, „jak pszczoły grają miodem, woskowiną".

Po krótkiej chwili buntu, gdy rzuca krainie Kanaan bluźnierstwo, krzycząc „Nieprawdą jesteś! Pełń złudy—twe wnęki!" i w „konradowem szaleństwie" wściekłość go bezbrzeżna chwyta, szaleństwem gorzkiem wyje, szczeka, rzęzi, jak hyjena by wypruć jelita, pijany skacze na łez swych przyczynę — mnich, idąc po przez „zaraźliwością tchnące śmierci drzewa, latorośl smętku, liść zaciemmień ducha, gdzie hymn obłudy kwiatozbiorem wiewa, w tany zaprasza, sowiem skrzydłem pucha" dochodzi do gaju Afrodyty.

Tam czuje, że „rośnie, że tęższe mu duch", ma „siłę rumaka i lotność ptaka" i wreszcie kiedy już „szaleje z mocy" rzuca się w wir rozkoszy. Noc pogańską, opisaną w rytmie wzorowanym na ludowym prymitywie znanej piosenki „Siekiera, motyka, piłka, kleszcze", przerywa wabiący śpiew mnichów, który dochodzi go z klasztoru, błagając Pana, by im „zwolił żywot czysty wieść" i o „miejsce przy poręczy". Mnich, używszy sobie do syta pada na rozstajach pod krzyżem i bluźni „za to żądz igrzysko, póki przeklinać duch mój jeszcze może, przeklinam, Boże!" (patrz: „Smutno mi Boże"). Wysłuchawszy skargi Chrystusa na niewdzięczność człowieka przekonywa się i wraca do klasztoru. Utwór kończy się epoteozą klasztoru, porównanego do łodzi, która gdy „wietrzyk lekki zawieje w jasne popłynie rozchwieje, ku niebu jmie(?) błękit pruć."

Książkę wydała drukarnia nakładowa J. Kawalera w Szamotułach (1932). (A. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Talentowi p. François Mauriac „zawdzięczamy" już dużo monstrów natury ludzkiej. Do tej to galerji należy również ostatnia jego powieść *„Le nid des-vipéres" (Grasset édit)*. Jest to „powieść" i jakżeż bolesna, samego jej bohatera, który dzięki pióru autora — spowiada się ze swych przejść tragicznych.

Przeszedł on przez dzieciństwo, nie zaznawszy czułości; przeszedł przez młode lata, dumny i inteligentny, ale nie zdobywszy sobie ani przyjaźni, ani miłości: Przyjdzie jednak chwila, kiedy nasz bohater ożeni się. Małżeństwo to jednak nie przyniesie mu ani osłody, ani radości. W sercu jego bowiem znajduje się owo *„nid de vipéres"*. Jest on mianowicie dumny i zazdrosny, pełen zawiści i skąpy. Żonie zaś swojej zarzuci niebawem, iż jest bardziej matką, aniżeli żoną; że odwróci od ojca dzieci, które wychowa w religji katolickiej, podczas gdy on sam jest ateuszem: wówczas zaś z nienawiści do swoich budzi się w jego duszy przeświadczenie, iż jeżeli jego własna rodzina go szanuje i obawia się go, to jedynie dla jego fortuny, dla jego pieniędzy. W miarę też, gdy dzieci podrastają, przepaść pomiędzy niemi a ojcem staje się większa. Marja, córka jego ukochana, umiera: siostrzeniec Luc, przezeń wyróżniony, zostaje zabity na wojnie. Czuje się on więc coraz bardziej odosobiony. Dlatego też w walce samym sobą, a przeciwko swojej rodzinie, będzie szukał narzędzia zemsty. Stanie się niem jego naturalny syn Robert, któremu chce zapisać całą swoją fortunę, ale który też zawiedzie zaufanie ojca, przeprowadzając różne kombinacje z jego własną rodziną...

Ta zaś, zdając sobie sprawę, iż może z jej rąk wyślizgnąć się cały spadek, jest zdecydowana chwycić się ostatnich środków, a więc zdeklarować starego ojca jako warjata i zamknąć go w domu nieuleczalnych. Atmosfera z dnia na dzień staje się dramatyczniejsza; tak bowiem z jednej, jak i z drugiej strony panuje nietylko brak zaufania, ale obopólne szpiegowanie każdego gestu, każdego słowa. Cała bowiem rodzina jest skoalizowana przeciwko stacowi: jego żona, jego dzieci, jego wnukowie! I sytuacja podobna przeciąga się aż do dnia, w którym nasz bohater zda sobie wreszcie sprawę, iż jest monstrem obojętności, w którym uprzytomni sobie, jak jego żona Iza modliła się ongiś wraz z ich dziećmi. W chwili zaś tej wyzna: „na to żeby wzbić się ponad głupotą, małostkowością ludzką trzeba posiąść tajemnicę miłości, jakiej świat już nie zna. Gdy zaś tego wieczoru zdałem sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, to o mało nie upadłem na kolana"...

Te zmagania się duszy, nie posiadającej wiary, oddał p. Mauriac w sposób nadzwyczaj głęboki. We wszystkich zaś swych powieściach autor, będący nawróconym katolikiem, wykazuje, iż istnieje wyjście dla największych grzeszników. To też czy ponad *„Baiser au Lépreux"* czy ponad *„Le Fleuve de Feu"* czy wreszcie ponad *„Le nid des vipéres"* unosi się jakby obietnica lepszej egzystencji, jaką można osiągnąć zapomocą modlitwy i wiary. (I. B.)

*

Wśród niezwykle licznej literatury, omawiającej w najrozmaitszych językach świata zagadnienie obecnego kryzysu, warto zwrócić uwagę na książkę Kuno Renatus'a p. t. *„Die zwölfte Stunde der Weltwirtschaft"* (München 1931, s. 178). Książka ta jest bardzo gruntownem uzasadnieniem tezy niemieckiej, że źródła kryzysu światowego należy szukać w odszkodowaniach. Chcąc nadać charakteru realnego tej tezie, autor łączy zagadnienie odszkodowań z zagadnieniem długów wojennych wogóle i w nich, jako długach zaciągniętych na cele nieprodukcyjne, widzi źródło kryzysu. Upatrywanie w tem jedynej przyczyny kryzysu jest oczywiście przesadą. Książka jest jednak pożyteczna, gdyż zwraca uwagę na tak ważne zagadnienie dzisiejszego życia gospodarczego, jak długi wojenne, a biorąc szerzej, wogóle na nadmierne obdłużenia gospodarstwa światowego. (J. P.)

*

Poczynania najświeższej doby w zakresie polityki społecznej w Anglji omawia broszura Hansa von Nostiz'a p. t. *„Zur Wirtschaftsdemokratie in England"* (Jena 1932 s. 86). Napisana ona została na podstawie studjów na miejscu i zawiera w tej dziedzinie wiele ciekawych materjałów. Autor omawia sprawę rad przemysłowych, mieszanych ciał, składających się z robotników i przedsiębiorców danej gałęzi przemysłu, t. zw. konferencje Monda, na których przedstawiciele centralnych związków pracodawców i pracobiorców omawiali podstawowe zagadnienia gospodarcze, rady fabryczne, wreszcie udział robotników w zyskach przedsiębiorców. Autor omawia również specjalnie ciekawe stosunki, jakie miały miejsce w poszczególnych przedsiębiorstwach angielskich. (J. P.)

NOWE KSIĄŻKI

Grzegorczyk Piotr. Bibljografja mniejszości narodowych w Polsce. Za r. 1931. Warsz. 1932. Nakładem Inst. badań spraw narodow. S. 41.

Zaleski W. J. dr. Międzynarodowa ochrona mniejszości. Warsz. 1932. Tamże. S. 192.

Katelbach Tadeusz. Niemcy współczesne wobec zagadnień narodowościowych. Warsz. 1932. Tamże. S. 402.

Podziemna dyktatura. Wojna alkoholowa w Stanach Zjedn. A. P. Z przedmową A. Nowaczyńskiego. Warsz. Gebethner i Wolff.

Nowakowski Zygm. Kucharz doskonały. Warsz. Gebethner i Wolff.

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu wyszły następujące książki.

Wiktor Jan. Tęcza nad sercem. Powieść. Wyd. II.

Glass Henryk. Na szlaku chudego wilka.

Bourne kardynał. O wychowaniu duchowem. S. 83.

Żulińska Barbara siostra C. R. O wychowaniu religijnem w wieku przedszkolnym. S. 37.

Vermersch Artur prof. Katechizm małżeństwa chrześcijańskiego. S. 98,

Fabbro Samuel O. Róża wśród cierni (Dzieje życia śp. Zofji Róży B.). Opracował ks. F. de Ville.

OFENSYWA

„BABA JAGA" — REDIVIVA

NIE można powiedzieć o Imperatorowej Sanacji, żeby się zbyt wielkodusznie troszczyła o dolę i egzystencję tych wszystkich, którzy jej w różnych fazach służyli choćby z zaparciem się siebie. O takich bowiem, za którymi nikt i nic nie stoi, o takich, którym potknęła się noga, ewentualnie którzy jej nieudolnością lub niezgrabiaszostwem więcej przysporzyli kłopotów, niż pociechy przynieśli, troska się Imperatorowa tyle, co o piąte koło u wozu.

Weźmy tu jako przykład takiego niepoczciwego ustosunkowania się ostatni *casus paseudeus* z tą nieszczęsną „Babą Jagą", nazwaną przez Irzykowskiego ongiś hjeną centkowaną czy też plamistą.

Z tym momentem, jak „Baba Jaga" potknęła się i pokompromitowała kolejno pisemka, które zamieszczały jej erupcje historyczne, dla „sanacji" poprostu jakby przestała istnieć. Pies z kulawą nogą nie zatroszczył się o losy sędziwej wetyranki, czy też wyteranki. Żaden adjutant Carski ani żaden foryś pułkownikowski nie zaglądał do azylum, w którem znalazła schronienie, z żadnym choćby orderkiem lub *suvenirem* nie zjawił się jakiś Belwederski goniec. I jak się potem dziwić nieszczęsnej „Babie Jadze", że przywrócona do ludzi i świata *virago* pieni się furją, że miota dokoło jadowitą żółcią i siarkowemi wyziewami, znalazłszy znowu przytulny przytułek przypadkowy, ale tym razem jeszcze gorszy niż ten na Czerniakowskiej, bo aż przy kloace Krakowskiego I. K. C.

Nie sposób nie współczuć temu tragicznemu upadkowi talentu pisarskiego, bądź co bądź ongiś zapowiadającego się na jakąć polską jeżeli już nie *madame* Severine to przynajmniej Louise Weiss *„la Blonde"*... Jakimż respektem otoczona jest dziś taka Karin Michaelis, jak się pięknie rozwinęła Grazia Deledda, jak normalnie i wydajnie pracują dla emancypacji kobiet i wogóle dla postępu ludzkości rozmaite działaczki i publicystki angielskie, amerykańskie, niemieckie, jak ciekawie objawiła się indywidualność pisarska p. Rachilde, jaką karjerę i to polityczną zrobiła p. Helena Vacarescu, ataszowana do sekretarjatu „Ligi Narodów".

A co tymczasem przez te lata stało się z tą biedną Janiną Walewską-Janowską piszącą pod nazwiskiem „Jehanny" (*sic*) Wielopolskiej? Czemu przypisać tak raptowną degryngoladę bądź co bądź i utalentowanej i jako tako wykształconej pisarki?

Błąd organiczny leżał zdaje się już w sztuczności przybranego nazwiska. Pochodząc z drobnego ziemiaństwa we Wschodniej Małopolsce, z licznie obrodzonej rodziny Walewskich, siedzącej na folwarczkach i dzierżawach, wyszła zdolna Janinka wcześnie zamąż za jednego z Wielopolskich, z całkiem, bocznej linji, nieutytułowanej, z którym przeżyła rok, by potem wyjść powtórnie za wojskowego Janowskiego.

Z tych trzech nazwisk najwięcej ambitnej a biednej Walewskiej przypadło do gustu... „Wielopolska". A już dla „Wielopolskiej" trzeba było koniecznie polską, pospolitą Janinę zamienia na „salonową" i „pałacową" Jehannę. Tak było najefektowniej.

Czytelnicy dzienników, w których w ostatniem dziesięcioleciu produkowała się „Baba Jaga", czytając jej podpis zacierali ręce, że to niby „nawet Wielopolscy stoją murem za Dziadkiem", a równocześnie wyobrażali sobie, że „Jehenne" to jakaś zapewne wysmukła dystyngowana *lady*, o włosach owoalowanych, lekko przyprószonych siwizną, w każdy razie, *sweet smart chique*, o długich wymanicurowanych palcach, bardzo rasowa, jako, że i o koniach i psach niekiedy pisze, coś jak markiza de Noailles w Paryżu.

Tymczasem „rzeczywista rzeczywistość" była antypodą tego imaginacyjnego portretu. Paszkwilenia wrzaskliwe na wrogów Dziadka, a szczególnie na „Endeków" pisała typowo roztyła, lwowska Dulska, której opatrzność w sposób bezlitośny poskąpiła i wdzięków niewieścich i tego co jest *lady-like*, Dulska, zasapana wiecznie z irytacji, o grubych kończynach i prezencji jakiej nie miała żadna z Wielopolskich, od XVI wieku począwszy. Tylko temu, że nikt z rodziny Wielopolskich nigdy żadnych z nią stosunków nie utrzymywał, należy przypisać to, że żadna z Gonzagów nie przewróciła się w trumnie.

Do sanacyjnych organów podnajęto, poczem wypożyczano sobie „Babę Jagę" kolejno spekulując na tem głównie, że na najdziksze, najhisteryczniejsze, wprost obłędne napaści pokąsanej „Baby Jagi", rycerskość i wzgląd na „damę" rozbroi napastowanych i powstrzyma przed replikowaniem takiem, jak na to opętana przez djabła partyjnickiego „Baba Jaga" zasłużyła. I na jakiś czas ten podstęp taktyczny się nadał. „Babę Jagę" traktowano w rękawiczkach. Ale gdy wypuszczony zbyt często z łańcuszka archiwarchoł w spódniki (barchanowej) zaczął się powtarzać „w pomysłach" i nudzić i nużyć, zamieniając organy Marszałka na stragany przekupek, szybko „Babę Jagę" wycofano z magli i z obiegu a wreszcie ugryziony kilkakrotnie w łydkę sam Kaden Bandrowski wymiótł Empuzę wyrwanym ożogiem na podwórze i *extra muros*. Sprzykrzyła się do cna swoim chlebodawcom atoli dopiero wtedy, kiedy się wreszcie przekonali, na ile to szkodzić może bronionej przez siebie „sprawie" i objektowi kultu polemiczka w stylu i duchu pomywaczek, lub t. zw. *petrolearek* z Komuny Paryskiej.

Wszystko to atoli razem wzięte i rozważone jeszcze jednak nie usprawiedliwia tego, aby tak lodowato i bezlitośnie potraktować choćby nawet wiedźmę publicystyczną, która bądź co bądź tyle się namęczyła i napociła w obronie znanej ideologji. Cokolwiek urodziwszej koleżanki jednak z pewnością nie potraktowanoby tak brutalnie i bezwzględnie. Gdyby „markiza" miała inny *exterieur* i nie ubierała się tak, że może się w nocy przyśnić, panowie redaktorzy sanacyjni może jednak byliby więcej toleranccy i łagodniejsi. A tu tymczasem najbezwględniej: *Die Mohrin hat ihre Schuldigkeit gethan, die Mohrin kann gehen.*

A tak nie można i tak się nie godzi nawet z białą murzynką...

Powinien się więc w najbliższym czasie zawiązać taki komitet (w tym wypadku może tylko kobiecy), któryby przyszedł z jakąś moralną pomocą, jeszcze wcale nie zgrzybiałej bojowniczce. Bądź co bądź to pod pewnym względem prababka także „Seksualnej Reformacji". I talent autentyczny był i pewna kultura pisarska. Łatwo bojować i łamy wszystkich pism mieć otwarte, paniom młodym, przystojnym, eleganckim, szykownym i solidnie wykształconym. Trzeba mieć jednak wyrozumienie dla takiej koleżanki, która właśnie nigdy żadnego z tych atutów nie miała, a jednak dawała sobie radę i miała ćwierćwiecze temu swój *season* i swoich (w czytelnikach) adoratorów. Taki komitet powinien się tedy zawiązać i powinien być bezpartyjny. Inicjatywa również dobrze mogłaby wyjść od pani Szelągowskiej jak i od pani Moszczeńskiej, a w zorganizowaniu komitetu mogłyby wziąć udział pani Krzywicka, Tylicka, Strzelecka jak również redaktorki „Bluszczu" i... „Ewy" i panie z „Rodziny Wojskowej". Jeżeli mężczyzni w literaturze i prasie pomagają sobie w krytycznych momentach, tembardziej kobiety powinny poczuwać się do obowiązków koleżeńskich altruistycznych, humanitarnych i charytatywnych.

Nie należy dać się zupełnie zmarnować, sponiewierać i sparjatyzyzować koleżance z dawnej generacji. Jaka tam była, to była, zapewne, że nie tyle Jehanne jak raczej Agata (ze znanej „piosenki" „była dość pyskata") i więcej Łyczakowska niż „Wielopolska" i więcej z Makbet'a niż z Maeterlincka... Atoli czarodziejki stylu powinny mieć także serce i dla czarownic stylowych. Sekutnica tym razem jest więcej ukarana, niż ta w Szekspirze.

Należy paniom piszącym coprędzej zająć się opiekuńczo losem nieszczęsnej „markizy z urojenia", która, gdyby nie jej ostatnia miłość ku „sanacji" (straszliwie nieodwzajemniona) mogła była istnieć sobie jako wcale tęga może nawet powieściopisarka. A tak stoczyła się z „dna oka" na dno I. K. C.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Warszawiak, zmuszony w ciepłe dni wakacyj letnich pozostawać w stolicy, wiele radości doznaje na widok wspaniałych kwietników róż i dalij, w ogrodzie Łazienkowskim i w Parku Paderewskiego. Oglądając zaś tabliczki pod nowowyhodowanemi odmianami kwiatów, spostrzega snadnie, że sztuka ogrodnicza najwyżej chyba stoi obecnie we Francji i że francuscy ogrodnicy żywo widocznie interesują się aktualną polityką, skoro wśród nazw najnowszych odmian raz po raz spotkać można takie, jak: Edouard Herriot, Paul Painlevé, Aristide Briand i t. d.

SKONFISKOWANE

*

Jako oficjalny przedstawiciel rządu na uroczystości częstochowskie udał się p. minister oświaty, Janusz Jędrzejewicz. Pogłoska, iż reprezentantem klubu parlamentarnego BB na tychże uroczystościach będzie p. poseł Wiślicki, okazała się niezgodna z rzeczywistością. Nawet ks. Janusz Radziwiłł nie pojechał...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.